

NOWOSC
ADAM MICKIEWICZ
PISMA POETYCKIE

Wydanie emigracyjne
w stulecie zgonu.
Str. 830. Płocienna oprawa. Cena 30 -.
Do nabycia
w KATOLICKIM OSRODKU
WYDAWNICZYM „VERITAS”
12 Prad Mews, London, W. 2.

ROK X.

Nr 22 (466)

NIEDZIELA, 27 MAJA 1956 R.

TADEUSZ FELSZTYN

ODWILŻ W BIOLOGII

Kariera i upadek Łysienki są jednym z jaskrawych przykładów losów nauki w ustroju, który na każdym kroku przechylała się, że „buduje nowe życie na podstawach naukowych”. Łysienko rozpoczął swą działalność jako praktyk rolniczy. Energiczny, pewny siebie, bezwzględny, zdołał on istotnie podnieść plony rolnicze na niektórych obszarach Rosji Sowieckiej, choć oczywiście nie w takim stopniu, jak to głosiła propaganda. Wady bowiem rolnictwa sowieckiego pochodzą nie tylko z niskiego poziomu agromonii, ale, i to głównie, z samego ustroju. A tego Łysienko ani nie mógł, ani nie chciał poprawiać. Tym niemniej jego walka z zacofanymi metodami rolnictwa dała tu i ówdzie wyniki, tak że zwrócił rychło na siebie uwagę Mikołaja Wawilowa, stojącego podówczas na czele sowieckiej Akademii Rolniczej.

Powodzenie to zawróciło Łysienkę w głowie. Mimo swego niesłyszanie niskiego poziomu wiadomości (biolog angielski Harland, który odwiedził Rosję i rozmawiał z Łysienką w 1933 roku, stwierdził, że jest on kompletnym nieukiem, nie tylko nie mającym żadnego pojęcia o nowoczesnej biologii, ale nie znającym nawet podstawowych faktów nie tylko z teorii o dziedziczności, ale nawet i z fizjologii roślin), a może właśnie dlatego, uzbudził sobie, że stworzył nową, „postępową” naukę. Co więcej, zaczął głosić, że jedynie jego teoria jest prawdziwą teorią marksistowską, podczas gdy wszystkie inne teorie, a zwłaszcza prace jego prorektora Wawilowa, biologa wówczas już o światowej sławie, są „reakcyjne”, bo sprzeczne z marksizmem. Wawilow, ufny w swą sławę i świadom, że mierzenie wartości teorii jej zgodnością z marksizmem, a nie z faktami, nie jest oczywiście argumentem naukowym, początkowo nie bardzo przejmował się tymi atakami. Okazało się jednak, że niesłusznie. Naciski wzrosły się. W 1932 roku, na VI międzynarodowym kongresie biologii w Ithaca, Wawilow — stojący podówczas na czele doświadczonej delegacji sowieckiej, zakomunikował o „wybitnym odkryciu, dokonanym przez T. Łysienkę z Odessy”, a

manowicie o jego metodach jarowizacji.

Obecni przyjęli ten referat z miętym zdziwieniem, gdyż metody jarowizacji były już podówczas doskonale w Stanach Zjednoczonych znane i Wawilow nie mógł o tym nie wiedzieć. Tym bardziej zaś niezrozumiałe brzmiały w ustach tak wybitnego biologa jak Wawilow, podawane przez niego rzekome wyniki Łysienki, który twierdził, że udało mu się przekształcić pszenicę ozimą na jarą i to w taki sposób, że te nowe cechy zatrzymywała ona w sposób dziedziczny. Z punktu widzenia genetyki był to jaskrawy nonsens. Oczywiście, można przez rozmaite sztuczki doprowadzić do tego, że pewna partia ziaren ozimych będzie zachowywała się tak, jak gdyby to były ziarna jare, ale ziarna roślin, które z nich wyrosną na pewno będą ozime, a nie jare, jak to głosił Łysienko, i Wawilow wiedział o tym doskonale, jak i wszyscy inni uczeni kongresu.

To publiczne upokorzenie nie ocalało jednak Wawilowa. W 1939 roku Łysienko obejmował kolejno stanowiska naukowe, jakie dotychczas zajmował Wawilow i nazwany został jego „współpracownikiem naukowym” z takim skutkiem, że w 1940 roku Wawilow został zaarrestowany i zesłany do obozu pracy, gdzie w 1942 roku zmarł. Z nim razem znikło około 50 biologów sowieckich.

Wybuch wojny skierował uwagę władz sowieckich na inne tory. Po zakończeniu jej jednak Łysienko znow wrocił do ataku. Ogłosił wtedy pierwszą w biologii sowieckiej „odwilż”, zachęcając do swobodnej dyskusji na tematy teorii dziedziczności. Niektórzy uczeni sowieccy, że zrebakiem na czele, dali się na to nabrać, czego wynikiem były artykuły naukowe w prasie sowieckiej krytykujące Łysienkę. W odpowiedzi na to zwołał on w 1948 roku zebranie Akademii Rolniczej, na którym wygłosił referat, atakując w nim swoich przeciwników, jako reakcyjnych i „idealistów”, a gdy w odpowiedzi rozległy się głosy sprzeciwu, Łysienko spokojnie odpowiedział:

„Centralny Komitet Partii widział i aprobował mój referat”. O dalszej dyskusji oczywiście nie było zatem mowy. Główni oponenci Łysienki, a w pierwszym rzędzie Zrebak, próbowali ratować się „pokajaniem”. List Zrebaka, opublikowany w prasie sowieckiej, jest pod tym względem niezmiernie charakterystyczny. „Jak długo — pisał on — oba kierunki sowieckiej nauki o dziedziczności były uznane przez władze partyjne, a spory między nimi uważane za twórcze dyskusje nad przyrodniczymi zagadnieniami teoretycznymi w celu poszukiwania prawdy, tak długo i ja broniełam mych poglądów, które tu i ówdzie różniły się od poglądów tow. akademika Łysienki. Teraz jednak stało się dla mnie oczywiste, że zasadnicze tezy nauki o dziedziczności, głoszone przez tow. Łysienkę, zostały zatwierdzone przez Centralny Komitet Partii i ja, jako członek partii, nie mogłam nadal upierać się przy poglądach, które Centralny Komitet Partii uznał za fałszywe”.

To „pokajanie” niewiele pomogło Zrebakowi. Znikł szybko z powierzchni życia sowieckiego, podobnie zresztą, jak i ci wszyscy, którzy podzielali jego poglądy. Co z nimi się stało, nie wiadomo. Z wszystkich nich pozostaje dzisiaj tylko jeden przy życiu.

Istotna różnica między Łysienką a Wawilowem i całą biologią wojennego świata, nie wyłączając nawet i komunistycznych biologów transkasyjskich czy angielskich, polega na problemie, czy cechy nabyte przez osobnika w czasie jego życia przechodzą na jego potomstwo. Liczne doświadczenia, dokonywane w całym świecie, wykazały w sposób przekonujący, że tak nie jest, że stałość cech dziedzicznych jest podstawowym prawem przyrody. Pełne odstępstwa od tego prawa sprządzają się albo do selekcji spośród typów mieszańców, jakimi są wszystkie gatunki i odmiany roślin i zwierząt, albo też są wynikiem bardzo procentowo nielicznych mutacji i następnej selekcji sztucznej lub też doboru naturalnego. Ta teza zasadnicza będąca podstawą wszystkich teoretycznych i praktycznych prac z zakresu genetyki, znalazła ostatnio znakomite potwierdzenie w zastosowaniu promieniów rozczerwonych celom powiększenia ilości zachodzących mutacji, a tym samym przyspieszenia procesu, który następnie, przy pomocy selekcji i nowych krzyżowań, prowadzi do nowych, korzystniejszych z punktu widzenia hodowcy odmian, zwłaszcza roślin. Nawet w dziedzinie dziedziczenia cech umysłowych, gdzie pewne, odwołane zresztą potem przez Pawłowa (czego zresztą w Rosji nie ogłoszono) wyniki jego prac zdawały się wskazywać na dziedziczenie cech nabytych, późniejsze doświadczenia Agara i Tiegasa nad 30 pokoleniami szczurów wykazały, że i tu zasada stałości cech dziedzicznych w pełni obowiązuje, a pozorne przeczące jej doświadczenia Pawłowa były tylko wynikiem błędnej metody (brak okazów kontrolnych).

Łysienkę jednak fakty te nie przemawiały do przekonania. Stałość cech dziedzicznych stoi bowiem w sprzeczności z naukami materializmu dialektycznego, a zwłaszcza z teorią Engelsa o pochodzeniu człowieka („praca stworzyła człowieka”), całkowicie opartą o dziedziczenie cech nabytych. Ponadto zaprzecza ona ambicjom komunizmu, że człowiek, oparty o „naukowe” podstawy dialektyki materialistycznej, może przekształcać przyrodę wedle swej woli. Wreszcie, stojąca u podstaw nowoczesnej genetyki czysto statystyczna teoria Mendla, wprowadzająca i tu prawa prawdopodobieństwa zamiast praw deterministycznych, jak i również czysto na prawdopodobieństwie oparta teoria mutacji, wszystko to musiało z natury rzeczy uchodzić za wysoce nieprawomyślne na tle teorii materializmu dialektycznego. To samo, zdaniem Łysienki, wystarczało już jako dowód fałszywości wszystkich teorii genetycznych Zachodu. Doświadczenia, jeśli w ogóle potrzebne, miały tylko potwierdzić prawdziwość tezy wysnutych z dialektyki. I do świadczeń takich Łysienko istotnie dokonał. Gdy jednak doświadczenia te powtórzono metodami istotnie naukowymi w wolnym świecie, okazało się, że dowody Łysienki były fikcją. Jedne były bowiem wynikiem stosowania wadliwego materiału badawczego, tak mieszanego, że to, co Łysienko uważał za przemianę cech dziedzicznych, było tylko prosta selekcja. Inne, jeśli je niekiedy udało się nawet przeprowadzić na tym samym materiale doświadczalnym, który stosowali uczeni rosyjscy lub satelicki, dawały w warunkach naprawdę naukowych wyniki wręcz odwrotne niż to głosił Łysienko. Jednym słowem Łysienko i je,

go zwolennicy nie potrafili przytoczyć ani jednego naukowego prawidłowego doświadczenia, które by potwierdziło ich tezę.

Również sformułowanie tez Łysienki brzmiało w sposób zupełnie „sciołastyczny”. Ani jednej konkretnej definicji, co przecież jest podstawą każdej prawdziwej nauki, a w zamian za to mętne i dające się na wszystkie strony naciągać słowa, jak np. „rozchwiana dziedziczność”, „wzbożona dziedziczność”, „zmiany stacjalne”, „małenstwo z miłości” itp.

Nie przeszkodziło to jednak Łysience głosić, że jego teoria jest „jedyną postępową nauką”, podczas gdy nauka genetyka, to tylko „zacołana i reakcyjna nauka burżuazyjna”. W swoich teoriach doszedł aż tak daleko, że zaczął twierdzić, jakoby udało mu się przekształcić pszenicę w żyto (było to wyraźne uderzenie w Wawilowa, który wykazał, że żyto, będące w normalnych warunkach pasożytem, niby kąkolem, w pszenicy, powoli wypierało pszenicę, w miarę jak jej zasiew przesuwał się w okolice o klimacie bardziej sprzyjającym żytu niż pszenicy), a nawet wyhodować brzozę o liściach oichy. To ostatnie jest zresztą zupełnie niemożliwe. Nie jest to jednak wynikiem jakiegokolwiek zmiany dziedzicznej, ale po prostu następstwem choroby brzozy, gryzka „excoasis betulinus”, który nadaje liściom brzozy wygląd podobny do liści oichy.

Z roku na rok Łysienko brnął głębiej. I wszystko byłoby trwało nadal, gdyby nie najważniejszy błąd, jaki popełnił: otóż uwierzył sam w swoje teorie. Uczeń sowieccy od dawna bowiem już się nauczyli, że teoria sobie, a praktyka sobie. Dopiero przecież niedawno nauka sowiecka przeknęła teorię względności Einsteina i nowoczesne teorie atomowe, starając się im nadać pokost dialektyczno-materialistyczny. Do lat ostatnich były to teorie „idealistyczne”, „reakcyjne”. Fizycy sowieccy, głoszący oficjalnie „reakcyjność” tych teorii, stosowali je jednak w praktyce w swych pracach nad energią atomową osiągając w ten sposób wysokie wyniki na tym polu.

Łysienko jednak tak dalece przejął się swoją teorią, że postanowił ją stosować i w praktyce. I tu oczywiście musiała nastąpić katastrofa. Nie dziw więc, że gdy zmarł potężny protektor Łysienki, Stalin, — wedle własnego przekonania znakomity teoretyk „biopolityczny” — a Chruszczow postanowił, po raz już nie wiedzieć który, podwyższyć mizerne plony rolnicze Rosji, konflikt z Łysienką był niunikniony. Pierwsze publiczne wymyślanie, w jesieni zeszłego roku, pochodziło od Chruszczowa, określającego w swym eleganckim języku Łysienkę jako „wesz, która przysłała się do rolnictwa sowieckiego”. A gdy Stalin został publicznie strącony z piedestału, los Łysienki był przypięczony. Z początkiem kwietnia Łysienko „dobrowolnie zrezygnował” ze stanowiska przewodniczącego sowieckiej Akademii Rolniczej i „wycofał się w zacisze pracy naukowej”.

Czy to usunięcie Łysienki uważać należy za nawrót do pełnej wolności studiów biologicznych, jak to twierdził Julian Huxley w liście do „Daily Telegraph”, za zwycięstwo prawdy („magna est veritas and praevaleret” pisał Huxley z tryumfem) i za powrót biologii sowieckiej do międzynarodowej rodziny nauki?

Zapewne, zapowiedziano już ponowną publikację prac ośmiętnego Wawilowa, ale z drugiej strony potępiając Łysienkę, który stał się występował pod maską proroka miczurinizmu (gdź taką nazwą ochrzcił on sam swe teorie, powołując się na doskonałego hodowcę rosyjskiego, choć żadnego teoretyka, Miczurina), bynajmniej nie potępiono miczurinizmu. Tu i ówdzie nawet pojawiły się głosy zarzucające Łysienkę, że ośmiętny i zniekształcił miczurinizm swymi wystąpieniami, co wskazuje na tendencję ratowania założonej teorii kosztem jednostki. I tak np. pod koniec stycznia pisał Władysław Grodzinski w „Po Prostu”, że „niepowodzenie Łysienki... nie można absolutnie utożsamiać z podważaniem fundamentalnych założeń biologii miczurinowskiej”. Istotnie bowiem odrzucenie miczurinizmu i nawrót do genetyki nowoczesnej byłoby bardzo trudne dla teoretyków materializmu dialektycznego, gdyż — jak to wykazałmy wyżej — tezy nowoczesnej genetyki są wyraźnie sprzeczne z teoriami marksizmu w wydaniu leninowskim. Z drugiej strony jednak, możliwe jest zawsze dialektyczne wykreślenie się siłami, jak to — mało skutecznie zresztą — próbuje się czynić z teoriami atomowymi. Należy więc wyzekać, jak daleko zajdzie odwilż w biologii

w Rosji i jaki będzie jej dalszy przebieg.

Te przemiany biologii w Rosji nie mogły oczywiście nie odbić się i w Kraju. Początkowo, w latach bezpośrednio po zakończeniu wojny, gdy nacisk na naukę nie był jeszcze tak silny, mógł prof. Wilczyński w 1948 roku napisać, zgodnie zresztą z prawdą, że prace Mendla były „tworem epokowym”, co mu zresztą bardzo ostro wytknięto w 1954 roku. Od tego czasu jednak wpajanie w głowę tez miczurinizmu i Łysienki przybrało na sile; podręczniki szkolne, pisma naukowe, prasa, radio, głośniły je bez przerwy i z naciskiem, zwałując tezy przeciwne typowo sowieckimi wykretami, lub mniej lub bardziej zresztą dialektyką.

Alle widocznie opory wśród biologów polskich musiały być silne, skoro w grudniowym numerze „Wszelchwiata” 1954 roku, dwaj główni promotorzy tez Łysienki w Polsce — Michajłow i Petrusiewicz z oburzeniem gromili biologów polskich, że nie umieją odróżnić „prawdziwych faktów” i „ich interpretacji” od „światopoglądowego oblicza genetyki formalnej”, co przelumaczono na język codzienny oznacza po prostu, że nie potrafili należycie naciągać faktów i wynikających z nich wniosków do powziętych z góry tez materializmu dialektycznego.

Alle nosił wilk, ponieśli i wilka. Już w styczniu 1956 roku Jan Bobr ostro i imiennie zaatakował Michajłowa i Petrusiewicza na łamach „Po Prostu” za to, że „nie przyznali się otwarcie do błędów” i że na komisji ewolucjonizmu P.A.N. „przeprowadzili sui generis obronę skompromitowanych teorii”. Władysław Grodzinski w tym samym numerze „Po Prostu” gromił „bezkrytyczność w przymowianiu i dogmatyzm w głoszeniu” „importowanych” teorii Łysienki w Polsce, a także „Nowe Drogi” z lutego 1956 roku ostro piętnował dawne metody prowadzone dyskusji naukowych „w sposób jaskrawo sprzeczny z normami życia naukowego”.

Ciekawe światło na tę odwilż rzuca jednak fakt, że wspomniany już Jan Bobr zwałcza łysienkoizm nie argumentami naukowymi, lecz powołując się na „argumenty naukowców radzieckich i „Prawdy”, a Michajłow bronił się twierdząc, że miczurinizm „ma nadal prawo obywatelstwa w Związku Radzieckim”.

Świadczy to wyraźnie o rezerwie i obawie zajęcia własnego stanowiska przez biologów polskich.

Trudno więc przewidzieć jak wyrazi się w Polsce dalszy rozwój odwilży w biologii. Należy jednak zwrócić uwagę na słuszne stwierdzenie Grodzkiego, że odrzucenie tez Łysienki podołało „zaufanie młodzieży do biologii i do starszych biologów”. I jest to niewątpliwie skutek ważny i dodatni. Obserwując życie umysłowe młodzieży polskiej w Kraju i rozmawiając z tymi nielicznymi jej reprezentantami, którym udało się stamtąd uciec, można stwierdzić, że — o ile ideologiczne teorie komunizmu zupełnie się nie przyjęły, wywołując jedynie określenie „drętwą mowę” — o tyle systematycznie wpajany materialistyczny światopogląd przyrodniczy w niepokojący sposób zadomowił się w głowach młodzieży. I trudno się temu dziwić. Młodzież zawsze z ufnością przyjmuje fakty i teorie naukowe, podawane jej przez nauczycieli, nie będąc jeszcze dość krytyczną, aby odróżnić, co w tym jest faktem, co bezpośrednim wnioskiem logicznym, a co założeniem, lub dobudową, nie mającą pokrycia w faktach, lecz jedynie w światopoglądzie głoszącego swe teorie. Trudności te są doskonale znane np. katolickim kapelanom uniwersyteckim w Anglii, gdzie przecież nauczanie jest mniej dogmatyczne i jednostronne niż w Polsce. Zapewne, audycje naukowe BBC w języku polskim, a także „Głosu Ameryki” i „Wolnej Europy” wiele zrobiły, aby młodzieży polskiej pokazać i drugą stronę obrazu, ale siła rzeczy były to tylko usiłowania fragmentaryczne i nie docierające dostatecznie szeroko. Fakt więc, że z taką pewnością, jako „jedną postępową prawdą” głoszone teorie Łysienki nagle zostały potępione, jako fałszywe, przez tych samych, którzy je głosił, uświadomił młodzieży polskiej jak prawdziwe było to, co jej mówili „zagraniczne szczerkaczki” i jak podejrzane jest to wszystko, czego jej uczą w szkole komunistycznej. Odwilż w biologii wywołała więc wzrost krytycyzmu młodzieży polskiej w stosunku do wpajanych w nią teorii nawet na gruncie czysto przyrodniczym, a tym samym wzrosła się jej odporność przeciw obecnej i wrogiej indoktrynacji.

Dr Tadeusz Felsztyn

W SPRAWIE RZEKOMO KATOLICKICH ZJAZDÓW I PIELGRZYMEK

Dowiedziawszy się, że agenci wyśłani przez reżym komunistyczny zagranicę zamierzają zorganizować zjazd „katolików progresistów”, uważam za swój obowiązek przestrzec katolików polskich przed udziałem w takim kongresie, który ostatecznie ogładzie służyć tylko celom antykościelnym i antykulturalnym przez zamierzone osłabianie oporu wiernych przeciw komunizmowi. Idąc na rękę reżymowi komunistycznemu, progresiści nie uczynili nic dla uwolnienia Ks. Kardynała Prymasa Wyszyńskiego i biskupów. W prawdziwym oporze intelektualnym wobec komunizmu nie biorą oni udziału, a z pracy swej mają wielkie materialne korzyści. Mimo potępienia przez Stolicę Apostolską, wydają oni nadal swój tygodnik, umieszczony na indeksie ania 28 czerwca 1955 r. Naród polski uważa ich za zdradców.

Co do „pielgrzymek” urządzanych do Polski pragnę podkreślić Dekret św. Kongregacji Soboru (Concilio) z 11. 11. 1936 r., który domaga się ściśle religijnego charakteru pielgrzymek oraz poprzedniej kazań oraz aprobaty ze strony władz kościelnych. O religijnym charakterze nie może być mowy, skoro takie imprezy organizowane bywają przez agentów komunizmu lub wręcz przez przedstawicieli reżymu przesłaującego Kościół. Jeżeli zaś chodzi o wycieczki organizowane do Polski przez czynniki reżymowe, to jestem przekonany, że żaden ksiądz w nich nie weźmie udziału, gdyż by-oby to w oczach świata katolickiego oznaką pogodzenia się z okupacją komunistyczną. Tak samo proszę katolików świeckich, by odmówili swego udziału w wycieczkach aż do chwili przywrócenia pełnej wolności Księdzu Prymasowi, księżom biskupom i uwiecznionym kapłanom.

Wabienie Poiaków zagranicznych pod pretekstem „pielgrzymki częstochowskiej” dla przejrzyściech zamiarów, podczas gdy Najdosłojniejszy nasz Prymas, który sakrę biskupią przyjął w Częstochowie i obraz Paniąki Jasnogórskiej nosi w swym herbie, nawet w tym jubileuszowym roku częstochowskim jest więźniem bezbożnego reżymu, jest dowodem nieuczciwości i perfidnej gry politycznej

+ biskup Garslucy

12.5.1956.

Arcybiskup Madytu
Protector Uchodźstwa Polskiego.



MATKA BOSKA BOLESNA
z Kosmacza na Huculszczyźnie.
(Do artykułu „Wystawa sztuki ludowej”)

GARŚĆ WSPOMNIENIA O KS. BISKUPIE ŁOZIŃSKIM ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Postulatu wezwaniu J. E. ks. arcybiskupa J. Gawliny (patrz ZYCIE nr 22(414)) przesyłam poniższe wspomnienia moje na ręce ks. dra Piotra Naruszewicza (18, via Machiavelli, Roma, 402, Italy), a za jego zgodą przesyłam je również Szanownej Redakcji ZYCIA z prośbą o umieszczenie ich na łamach swego pisma.

Czynię to w nadziei, że wśród czytelników ZYCIA znajdują się może tacy, którzy mieli szczęście znać księdza biskupa Z. Łozińskiego i zechcą — idąc za wezwaniem Księdza Arcypasterza — dorzucić do moich wspomnień także swoje własne.

KLERYK

Księdza Zygmunta, młodego wówczas kleryka, spotkałem po raz pierwszy na krótko przed jego wyświęceniem.

Było to w Petersburgu, u jego wujka, ks. prałata Czczotą, człowieka o wysokiej kulturze: muzyka, historia, literatura.

Byłem też podczas obrzędów wyświęcenia kleryków w katedrze metropolitalnej, a później tamże słuchałem plemiennych kazań nowo-wyświęconego młodego księdza: Zygmunta Łozińskiego.

BIBLISTA

Niebawem ks. Z. Łoziński opuścił Petersburg wyjeżdżając na studia biblijne do Rzymu i do Ziemi Świętej, a gdy po paru latach powrócił stamtąd, prosiłem go, by jako biblista prowadził Koło Ewangeliczne, które — sam będąc wówczas studentem — zorganizował przy Stowarzyszeniu Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. (W latach poprzednich asystentami kościelnymi w tych kołach byli kolejno: ks. Edward O'Rourke oraz ks. prof. Fr. Bucyz — obaj późniejsi biskupi nasi).

Koło nasze zbierało się co tydzień. Ks. Z. Łoziński zjawiał się do nas z biblią grecką w ręku, by sens każdego słowa tłumaczyć nam żydowsko.

Kiedy go zaś wyznaczono proboszczem przy kościele Maltajskim, zapraszał nas na probosztwo do siebie. Zbliżało to nas do niego i spowodowało, iż — pomimo jego surowości — prawie wszyscy członkowie koła obrali go za swego spowiednika.

W swoim kościele ks. Z. Łoziński prowadził co sobotę parafialne studium Ewangelii. Schodziło się tam mnóstwo ludzi różnych narodowości, jako że i Łosyże i Litwini, i nawet Rosjanie z krzeszów wschodnich znali język polski, a woleli słuchać księdza katolickiego niż baptystów, którzy wówczas Pismo święte gorąco propagowali. (Za przykładem ks. Łozińskiego także studium parafialne — również gromadnie uczęszczane — prowadził także ks. prob. Kawecisz, późniejszy biskup kowieński).

WIĘZIEN

Nadeszła wojna 1914 - 1918 roku i mobilizacja wojenna. Zaczęliśmy się rozjeżdżać. Ks. Z. Łoziński otrzymał sakrę biskupią i wyjechał również. Koło Ewangeliczne przestało istnieć. Wpływ jego jednak na poszczególne członków koła pozostał na całe życie.

W marcu roku 1920 — w okresie wojny polsko-bolszewickiej — zostałem aresztowany i więziony: w Witebsku, Smoleńsku i Orle. A kiedy na wiosnę roku 1921 zaczęto wykonywać postanowienia traktatu ryskiego dotyczące więźniów, przewieziono mnie do Moskwy i osadzono w Butyrkach jako zakładnika przeznaczony na wyjazd do Polski w drodze wzajemnej wymiany jeńców.

Umieszczono mnie w celi parterowej z 25 innymi więźniami, wśród których, prócz Polaków, byli też Rosjanie i Żydzi. Całe to towarzystwo było nieprzyjemne: egoistyczne, kłótniwe, trwoniące czas na hazard karciany i żarty nieprzyzwoite. Nieraz wywoływano kłótnię na dodatkowe śledztwo lub go przenoszono gdzie indziej.

Kiedyś, na moją prośbę, poprowadzono mnie do sąsiedniego gmachu więziennego: do fryzjera i do dentysty — więźniów, jak i my również, uprawiających swój zawód na zlecenie administracji więziennych. W drodze powrotnej — ku memu zdumieniu — spotkałem na podwórzu więziennym prowadzonego pod eskortą ks. biskupa Łozińskiego. Padliśmy sobie w objęcia!

W godzinę później wprowadzono go do mojej celi i przydzielono mu „kołkę więzienną” (posłanie). Było więc nas 27. Przykra atmosfera na sali — mimo dawnego ścisła — zmieniła się od razu: ustaly spróśne rozmowy i kłótnie, ludzie skupili się około biskupa, ten zaś cały swój czas — poza modlitwą — poświęcał innym: opowiadał różne zdarzenia, układał gry towarzyskie, rebusy, zadania matematyczne, wiersze, odmawiał z nami modlitwy wieczorne, a kiedy znajomi z miasta przesiadali mu w „paczce zynowościowej” kamień z relikwiami, wino mszalne i komunikanty, odprawiał z rana Mszę św., do której mu usługiwano. (Doroznicy udawali, że Mszy św. nie widzą). Kiedyś zabrakło komunikantów. Ze zaś było to w okresie paschy żydowskiej, polecił mi ks. biskup wystarać się u więźniów-izraelitów o macę, którą następnie w czasie Mszy św. konsekrował, spożywał i nam udzielał.

Msze te — odprawiane w więzieniu niemal po kryjomu — przejmowały nas ogromnym wzruszeniem. Cały zaś pobyt wśród nas ks. biskupa miał dla nas radosny i odświeżający charakter. Byliśmy podniesieni na duchu.

Bo też ks. biskup był dla nas ojcem prawdziwym, a jednocześnie przykładem i wzorem postępowania. Jego dobroć i uszlusność były wzruszające: wchodził w najdrobniejsze nasze kłopoty i zmartwienia. Tak np. do rzeczy kłopotliwych i nieprzyjemnych należało pranie własnej bielizny, bo dokonywało się to w ustępie, a jedynym statkiem, w którym można było uprać, była „parasza”, czyli kuba kamionkowy, który uprzednio należało dokładnie oczyścić z ludzkich ekskrementów, któregoś dnia ks. biskup podchodził do mnie i pytał:

— Czy ma pan brudną bieliznę do prania, bo ja tak lubię pracować...? Odpowiedziałem:

— Ależ, księże biskupie, ja także lubię prac! Proszę mi dać swoją!

Nie dał się jednak uprosić i nie pozwolił nikomu, by ktoś mu ją wyprał. Po pewnym czasie wprowadzono do naszej celi rannego pułkownika Waleriana Czumę (dowodzącego V dywizji syberyjskiej, późniejszego generała W. P.). Dano mu kójkę obok kójki ks. biskupa, a wkrótce później zabrano ich obu do szpitala więziennego.

Spotykałem ks. biskupa już wtedy tylko na przechadzkach. Najczęściej był otoczony przez hierarchów Cerkwi prawosławnej, których sporo przebywało wówczas w Butyrkach. Miał z nimi gorące rozprawy o połączeniu Kościołów. Brali w nich udział także i Rosjanie świeccy. Ksiądz biskup robił na nim wielkie wrażenie. Widziałem jak jeden z nich (powiadano — magister dwóch fakultetów) odbywał u niego swą spowiedź.

Czekaliśmy wszyscy na chwilę, kiedy wyprowadzą nas z więzienia, posiadając do wagonów i odwozów do Polski. Pani Pieszkowa (żona M. Gorkiego, przedstawicielka Czerwonego Krzyża) powiedziała mi, że ks. biskupa i innie odesłał do Polski razem. Bardzo więc nas to liczyłem ciesząc się z tego czasu. Wbrew jednak tej zapowiedzi odesłano mnie razem z innymi na parę miesięcy do tzw. „Kozuchowskawa lagiera”, ks. biskupa zaś zawieziono do Polski drogą okrężną przez Rygę, nie zaś prostą do Minsku, gdyż obawiano się, że jego diecezjanie witać go będą nazbyt owacyjnie i będą usiłowali zatrzymać go za wszelką cenę, chociażby siłą.

Za pobytu mego w Butyrkach zaszło dziwne zdarzenie, o którym opowiem dlatego, że być może i ks. biskup brał w nim udział również, jeśli znajdował się wówczas jeszcze w szpitalu więziennym. Zdarzenie to było powodem przeniesienia nas — ale bez ks. biskupa — na podmiejską prowincję, do wspomnianego poprzednio lagru (obozu jeńskiego).

Choć przebywaliśmy w ciężkim więzieniu karnym, w słynnych Butyrkach moskiewskich, to korzystaliśmy jednak — jako zakładnicy wojenni, piznaczeni na wyjazd do Polski — z pewnej, ograniczonej swobody, swobodę: mieliśmy drzwi otwarte na wspólny korytarz i trzy nasze cele mogły się

w ciągu dnia komunikować ze sobą; korzystaliśmy z codziennych przechadzek w podwórzu trwających całą godzinę; otrzymywaliśmy listy (cenzurowane) i paczki; odwiedzała nas przedstawicielka Czerwonego Krzyża, P. Pieszkowa; wybrany przez nas z naszego grona „delegat” (konsul Stanisław Zieliński) miał prawo raz na tydzień — pod dozorem konwojenta — wychodzić z więzienia na kilka godzin dla załatwienia naszych zleceń i spraw.

Po odejściu jednak pierwszej partii Polaków, a wśród nich i konsula Zielińskiego, oraz po przeniesieniu ks. biskupa i pika Czumi do szpitala, wszystkie te przywileje zostały nam odejęte.

Postanowiliśmy zareagować na to ogłoszeniem głodówki. Ze zaś było nas niewielu (około 30 osób), prosiłmiśmy rosyjskich es-erów (socjal-rewolucionistów), których wtedy sporo jeszcze siedziało w Butyrkach, o przyłączenie się do nas.

Odpowiedzieli: „Z wami głodować nie zamierzamy, bo prawdziwej głodówki do końca nie wytrzymacie. W gronie swym macie wielu burżujów, którzy się załamają, sprawę skompromitują i wtedy wszystko się na nas skrępi. Damy wam jednak dobrą radę: zaczniście głodówkę we środę, postarajcie się przetrzymać ją do soboty. W sobotę o godz. 2 po południu otworcie okna i krzyczcie. My zrobimy to samo: podtrzymamy was naszym krzykiem”.

Tak też zrobiliśmy. Rozpoczęliśmy głodówkę we środę.

Gdy jednak w sobotę głód zaczął bardzo doskwierać, stało się tak jak przewidywali esery: dwóch spośród naszej gromady (dwóch polskich Żydów) przyjęło z rana roznoszony przez dozorców posiłek. Za ich ujemnym przykładem gotowi byli pojeść inni. Lecz tegoż dnia o godz. 2 stanęliśmy w oknach i zaczęliśmy krzyczyć. W tej samej chwili ze wszystkich okien, jakie tylko zdołano otworzyć, zabrzmiał potężny krzyk wspólny. W tym samym czasie na ogłosz syren fabrycznych otworzyły się wrota fabryk i robotnicy zaczęli wysypywać się z nich tłumnie wracając z pracy do domu. Gdy posyłał nasz krzyk zaczęli oblegać mury Butyrek domagając się „zaprzestania katanowania więźniów”. Robotników wciągnęli przybywało, liczba ich sięgała kilkuset lub kilkudziesięciu tysięcy. Oczwieszny rząd bolszewicki, tzw. sow-narkom, zrozumiał, że siły samego G. P. U. (Głównego politycznego urzędnika, obecnie NKWD) nie wystarczą dla stłumienia rewolty, a wojsko, nie dość pewne, mogło odmówić strzelania do robotników. Któryś więc z głównych komisarzy przybył do Butyrek na pertraktację z nami. Ku naszemu zdziwieniu przyjął z miejsca wszystkie nasze, przedstawione na piśmie, żądania (w tej liczbie także żądanie usunięcia komendanta więzienia), a gdyśmy się o tym dowiedzieli, krzyliśmy jeszcze przez pół godziny, ale

już tylko z radości dając tym wyraz naszego tryumfu.

W ciągu trzech pierwszych dni bolszewicy dotrzymywali przyjętych zobowiązań, później jednak zaczęli je łamać wprowadzając powrotem surowe normy ogólne, po czym nas — Polaków — wywieziono do lagru. Nie obeszło się też, oczywiście, bez śledztwa. Szpiedzy donieśli, że to esery namawiali do krzyku. Wielu więc z nich wsadzono do ciemnego i wilgotnego karceru na chlebiwodę. (Kara to była straszna, bo ławki w karcerze nie ma, ściany mokre, błoto po kostki, szczerzy odgrzyżają palce u nóg, a pleśń wchodzi w oczy, uszy, usta i płuca, skracając oddech i powodując śmierć od uduszenia). Cała więc złość bolszewicka skierowała się przeciw eserom, tym rosyjskim bojownikom wolności. Zawaliliśmy ich bardzo.

Dodać tu jeszcze, że krzyk nasz trwał około półtorej godziny stał się dla kilku tysięcy więźniów prawdziwym „krzykiem rozpaczy”, wyrażał bowiem tragiczną mekę tych ludzi. Przez lata całe aż dotąd znosił cierpienia w ukryciu, nie mogąc ich nigdy ujawnić. I oto naraż nagromadzone w ich piersiach uczucia znalazły swe ujście w wspólnym zbiorowym krzyku. Brzmiał on potężnie: jako wyraz bólu, wołanie o pomoc i groźba. Wielu z tej braci krzyczącej nie wytrzymało nerwowego napięcia i wpadało w histeryę tarzając się po ziemi to w płaczu, to w śmiechu. Trzeba było niektórych odnieść na noszach do szpitala. Byłem jednym z tych, którzy to właśnie robili. Sam zaś ledwo powstrzymywałem się, by nie wpaść w stan podobny. Co do księdza biskupa, nie umiem powiedzieć na pewno, czy i on przeżył to wstrząsające zdarzenie. Wydaje mi się, że już chyba uprzednio ze szpitala więziennego został wywieziony.

PROSTOTA I ODWAGA CYWILNA

Ks. biskup tłumaczył nam kiedyś w Kole Ewangelicznym, że w zdaniu: „Bądźcie roztropni, jak węże, i prości jak gołębie” (Mt. 10, 16) — roztropność i prostota nie przeciwstawiają się sobie, ale się uzupełniają wzajemnie, bo prawdziwa roztropność polega właśnie na prostocie. Łączył ją ks. biskup — w praktyce swego życia — z odwagą cywilną wypływającą, w znacznej mierze, z jego prawdziwej ascezy. Ks. biskup nie dbał o ludzkie względy, bo nie dbał o „wygodę” w życiu, dlatego też — gdy chodziło o sprawę zasadniczą, której zawsze wysuwał na plan pierwszy — nie obawiał się poruszać kwestii przykrych, drażliwych. Śmiało dotykał bólaćek sumienia, stał obcowanie z nim nie było łatwe. Jednocześnie świadczył ludziom wiele dobrego i to kosztem dużego trudu i poświęcenia. Ileż to razy widywano go po nocach w szpitalu, jak usługiwał chorym, lub w kościele, kiedy spowiadał, lub w seminarium, gdy zastępował nauczycieli, i to we wszystkich przedmiotach, nawet w matematyce.

Z ust wiarogodnych słyszałem też o takim zdarzeniu: kierownikiem szpitala w N. był dr B. K. Znałem go: wielkiej zacności człowiek. Ciężkie przeżycia w bolszewii spowodowały, że żona jego zapadła nieraz w stan niepoczytalny. Któregoś dnia, w paroksyzmie szalu, rozebrana do naga, biegła po ulicach, aż mąż z sanitariuszami nadbiegł, by ją otoczyć opieką. Gawiedź uliczna rozniosła o tym po mieście. Powstały plotki, od których powaga lekarza cierpiała. Wdał się w to zaraz ks. biskup. Zaprosił doktora do swego powozu i — aby ludzie widzieli, jak bardzo go poważa — obwiózł go ostentacyjnie po głównych ulicach miasta. Złosiłwie plotki ustaly.

Od czasu spotkania ks. biskupa Łozińskiego w Warszawie w roku 1921 więcej go już nie widziałem. Lecz chyba nie straciłem z nim kontaktu duchowego, jako że pamięć o nim wiernie chowam w sercu.

CHŁOPIEC

Następne spotkanie moje z ks. biskupem Łozińskim miało miejsce w rok później w Warszawie, dokąd przyjechał z Nowogródka. Odnalazł mnie w mieszkaniu i zabrał z sobą na miasto.

Przechodząc przez Ogród Saski opowiedział mi ciekawą historię ze swego życia: miał wtedy lat siedem i codzień bawił się w tym ogródku. Pewnego razu, gdy leżał na ławce, podszedł do niego chłopiec w czerwonej „rubaszce” i z okrzykiem: „Ach, ty paliaszyszka!” uderzył go batem po plecach.

W małym Zygmuście zawrzała krew. Zaciął się jednak i nie ruszył z miejsca.

Był to dla chłopca moment szczególny: obudzenie się w nim świadomości narodowej.

Odtąd słowo Moskalki łączył mimo woli z tym jaskrawym przeżyciem.

ASCETA

Przeszedłszy ze mną przez ogród ks. biskup zaprowadził mnie do swojej kuzynki, pani Stefani Okołów - Podhor-

skiej — poetki, literatki i redaktorki pisma. Przyjechała nas herbata i ciastkami. Kiedy mu je podawała, powiedział:

— W Polsce taka niedza, a ty nas częstujesz ciastkami?!

I nie jadł, zadawając się chlebem z masłem. W pewnej chwili pani Stefania spojrzęła na jego wyszarżaną i polataną sutannę i udając zgorznienie spytała zartobliwie:

— Czy to w takiej sutannie biskup w Polsce ma chodzić?!

— Właśnie w takiej — brzmiała odpowiedź.

RODZINA

Tamże poznałem wówczas brata ks. biskupa. A że znałem uprzednio jego wujka, ks. prałata Czczotą, mogłem sobie zdać sprawę z poziomu kultury całej tej wybitnej rodziny. Byli to ludzie wysokiej klasy, wykształceni, o wytwornym obejściu.

PROSTOTA I ODWAGA CYWILNA

Ks. biskup tłumaczył nam kiedyś w Kole Ewangelicznym, że w zdaniu: „Bądźcie roztropni, jak węże, i prości jak gołębie” (Mt. 10, 16) — roztropność i prostota nie przeciwstawiają się sobie, ale się uzupełniają wzajemnie, bo prawdziwa roztropność polega właśnie na prostocie. Łączył ją ks. biskup — w praktyce swego życia — z odwagą cywilną wypływającą, w znacznej mierze, z jego prawdziwej ascezy. Ks. biskup nie dbał o ludzkie względy, bo nie dbał o „wygodę” w życiu, dlatego też — gdy chodziło o sprawę zasadniczą, której zawsze wysuwał na plan pierwszy — nie obawiał się poruszać kwestii przykrych, drażliwych. Śmiało dotykał bólaćek sumienia, stał obcowanie z nim nie było łatwe. Jednocześnie świadczył ludziom wiele dobrego i to kosztem dużego trudu i poświęcenia. Ileż to razy widywano go po nocach w szpitalu, jak usługiwał chorym, lub w kościele, kiedy spowiadał, lub w seminarium, gdy zastępował nauczycieli, i to we wszystkich przedmiotach, nawet w matematyce.

Z ust wiarogodnych słyszałem też o takim zdarzeniu: kierownikiem szpitala w N. był dr B. K. Znałem go: wielkiej zacności człowiek. Ciężkie przeżycia w bolszewii spowodowały, że żona jego zapadła nieraz w stan niepoczytalny. Któregoś dnia, w paroksyzmie szalu, rozebrana do naga, biegła po ulicach, aż mąż z sanitariuszami nadbiegł, by ją otoczyć opieką. Gawiedź uliczna rozniosła o tym po mieście. Powstały plotki, od których powaga lekarza cierpiała. Wdał się w to zaraz ks. biskup. Zaprosił doktora do swego powozu i — aby ludzie widzieli, jak bardzo go poważa — obwiózł go ostentacyjnie po głównych ulicach miasta. Złosiłwie plotki ustaly.

Od czasu spotkania ks. biskupa Łozińskiego w Warszawie w roku 1921 więcej go już nie widziałem. Lecz chyba nie straciłem z nim kontaktu duchowego, jako że pamięć o nim wiernie chowam w sercu.

S. L. G.

OJCIEC ŚW. NA 300-LECIE ŚLUBÓW JANA KAZIMIERZA

Z inicjatywy J. E. ks. arcybiskupa Józefa Gawliny, opiekuna uchodźców polskich w świecie, oraz ambasadora Polski przy Watykanie Kazimierza Papée, odbyła się w dniu 3 maja uroczystość 300-lecia ślubów króla Jana Kazimierza. Obchód urządzony był w bazylice Matki Boskiej Wniebowziętej (S. Maria Maggiore), gdyż polski kościół św. Stanisława w Rzymie nie mógłby pomieścić wszystkich uczestników uroczystości. Poza liczną Polonią rzymską przybyło wielu dostojnych gości zagranicznych, m. in.: 8 arcybiskupów, 8 ambasadorów oraz 7 ministrów i innych przedstawicieli dyplomatycznych. Gości witali księża prałaci: Walerian Meysztożewicz i Marian Strojny. Mszę św. pontyfikującą celebrował arcybiskup Antonio Samoré, sekretarz św. Kongregacji dla Spraw Nadzwyczajnych, który również wygłosił piękne kazanie okolicznościowe. Ojciec św. Pius XII, którego ambasador Papée i arcybiskup Gawlina uprzednio uprosili o Błogosławieństwo Apostolskie, raczył wysłać pod adresem J. E. ks. arcybiskupa Gawliny jako opiekuna emigracji następujący telegram:

„J. E. Ks. Arcybiskup J. F. Gawlina: Ojciec św. dziękuje serdecznie Polakom, którzy przybyli na uroczysty obchód rocznicy ślubów króla Jana Kazimierza, jak również za hołd, który jest dowodem ich synowskiej miłości i pragnie gorąco, ażeby chwalebna myśl tej wspaniałej rocznicy szlachetnego Narodu Polskiego wzmożona ich łączność ze Stolicą Piotrową i zapewniła im świetlaną przyszłość. Polecając was, wspie Bogarodzicy, Ojciec św., pełen miłości, udziela wam i rodakom waszym Swęgo Błogosławieństwa. Dell'Acqua, Subs.”

ZBIORKA NA POMOC POLSCE

Za zgodą biskupów amerykańskich w polskich parafiach w Stanach Zjednoczonych odbyły się zbiórki kościelne na pomoc dla Kościoła katolickiego w Polsce. W diecezji Scranton w Pensylwanii zbiórką kierował biskup Henryk Klonowski, sufragan diecezji, który brał osobisty udział w apelu swej rezydenckiej parafii. Zeszlazoroczna zbiórka w diecezji scrantonskiej na cele Ligi Religijnej Pomocy Polsce przyniosła prawie 25 tysięcy dolarów.

Fundusze zebrane w tegorocznym apelu przeznaczone będą na wychowanie kadydantów do stanu kapłańskiego, na wyższe studia dla księży polskich w Rzymie, na duszpasterstwo wśród uchodźców polskich oraz na zakup sprzętów liturgicznych dla Kościoła w Polsce. Z okazji tej zbiórki niektórzy biskupi amerykańscy wydali listy pasterskie o sytuacji Kościoła w Polsce i o konieczności dalszej dla niego pomocy.

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

JAK DŁUGO TRWAŁA AKCJA W „PANU TADEUSZU”

Adam Mickiewicz nazwał „Pana Tadeusza” historią szlachecką z roku 1811 i 1812. Ustalił zatem ogólne ramy poematu i jak gdyby rzecz zamknął. Słusznie czy niesłusznie jednakże, rat. w te, nader płynne, próbowałem już wielokrotnie uszytnić. Wszystkiemu „winiem” oczywiście poeta, bo rozrzucając na przestrzeni całego utworu przeobfite aluzje do por roku, do danych meteorologicznych, do wydarzeń natury ściśle astronomicznej, zastrzył wysoce ciekawego czytelnika, któremu nie można odmówić prawa dociekania prawdy, nawet gdy jest ona bliźna i nieistotna. Stąd też St. Pigoń niesłusznie, moim zdaniem, sroży się pisząc: „Jakiekolwiek rachuby astronomiczne itp. polegają na zasadniczym nieporozumieniu. Trudno o większą niewiastę niż przymierzanie do poematu poszczególnych dat kalendarzowych, konfrontowanie go z globusem astralnym itp. Jest to dybanie obcesem na swobodę kompozycji artystycznej, przynależną poecie i zawarowaną sobie pryzem najwyraźniej.” (Wśród Tobiców, St. Pigoń, str. 181)

Mimo surowości tego sądu i oskarżenia o dybanie na swobodę kompozycji artystycznej, zajmam się tym problemem od nowa, być może z większym szczęściem.

Powszechnie wiadomo, że akcja „Pana Tadeusza” składa się z dwóch części. Księgi I do X dotyczą wypadków związanych z zajazdem szlacheckim; pozostałe opierają się o fakt przemarszu wojsk napoleońskich z roku następnego. Pomijając zagadnienie czy zajazd soplicowski miał faktycznie miejsce w roku 1811 i w jakiej zależności stoją fakty opisane w „Panu Tadeuszu” do rzeczywistości ówczesnej, zajmę się tylko poematem usiłując ustalić, na podstawie dowodów z niego wypływających, kiedy te wypadki mogły lub musiały zaistnieć.

Już z pierwszych stron wynika, że jest lato i żniwobranie, że za stodoła-

mi obejścia soplicowskiego widnieją liczne stogi użatku, ale stoi jeszcze na pniu dojrzały owies, do którego uczul niewczesną skłonność biedny niedziedzic z matecznika. Pierwsi oracze wyszli już na pola, aby podorywać ugor. Jest więc prawdopodobnie późny sierpień, ale jeszcze sierpień, bo kiedy Assesor i Rejent poszuli zającą „bez żadnego względu na artykuły ustaw, przepisy urzędu” obowiązywała jeszcze ochrona zajęć, stosowana podówczas do pierwszego września. Są wprawdzie pewne opisy obrazujące jesień raczej niż lato: „Wiatr wznosił się i pedził obłoki od wschodu, Gęste i poszarpane jako bryły lodu”, a w innym miejscu czytamy, że Dobryńscy zdzwonili zębami, przemoczeni do suchej nitki, bo: „Major ku większej ich mece, Kazał pierwszej podziierać z głów konfederatów. Z pleców płaszcz, kontusz, nawet tarataki. Nawet żupany”. Nic w tym jednak dziwnego, bo leżeli związani i skuci w doraznie wykonanych dybach, na śpiącym deszczu faktycznie sierpniowego, choć jesiennego z nastroju — poranka. Zresztą upłynął już miesiąc od „świętej Anki”, od której „zime wieczory i ranki”.

Na początku księgi IV dowiadujemy się, że jest niedziela:

„... Na stółkach dookoła Siedzieli chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobą. Po rannej mszy z kaplicy, że była niedziela Zabawił się i wypić przyszli do Jankiela.”

Rzucem wstecz na pierwsze trzy księgi ustalamy, że pan Tadeusz przyjechał do Soplicowa w piątek po południu, pod nieobecność zebranych gości, którzy przybyli tamże na sady podkomorskie w sprawie przynależności Zamku. Chronologia szczegółowa nie potrzebna. Po powrocie z lasu jest

pierwsza wczera w Zamku, słynna z nainnej galy Tadeusza. Sobota przed śniadaniem — próba Kusego i Sokola, niesławna dla psów i szczwaczy. Po późniejszym śniadaniu grzybobranie, żmory hrabiego, powrót i obiad. Pod koniec obiadu ważne obwieszczenie: „Niedziedzic, Mospianie.” Reszta dnia zajęta przygotowaniami. Akcja od księgi IV, to jest od wspomnianej wyżej niedzieli, zawiera pokrótce następujące wypadki: niedziela — polowanie na niedziedzica, Robaka robotła powstanca w karczmie, poznanie dwójki młodych, kłótnia w Zamku. Poniedziałek — to niesławny dzień zasciankowych zawiści, knucia, demagogii, uciążliwego pieniatwa, pospolitego rozbój w imię niby to honoru, a właściwie w imię prostactkiej pychy i małostkowości pustego życia szlachty zasciankowej. Dla równowagi artystycznej jest tam jednak także słynny opis koncertu dwóch stawów i romantyczna wizja cichego wieczoru w podgrze. Późną nocą z poniedziałku na czele wótek dżokejów, a następnie zjeżdżają Dobryńscy. Zjazd udaje się znakomicie, postuszając gospodarstwo Zosi i piwnice Sedziego. Piątyk kończy się niewola u Moskalki. We wtorek rano nadjeżdża Robak z odsieczą. Później wre bitwa dzień cały. Wieczór zajęty jest pertraktacją z Rykowem. Nocą odbywa się pokorna powieść Robaka, a w środę rano umiera on w apoteozie świętości. Tu kończy się pierwsza akcja, trwająca od piątku do środy rano. A teraz, czy możemy bliżej określić datę owego piątku? Owszem, w przybliżeniu, jeśli nie w zupełną dokładnością. W opisie wieczoru przy objaśnieniach astronomicznych Wojskiego jest słów kilka, które nam zadanie ułatwiają:

„Dziś mało go słuchano, nie wżażano wcale Na Sito, ni na Smoka, ani też na Szale; Dziś oczy i myśli wszystkich pociąga do siebie Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie: Był to kometa pierwszej wielkości i mocy...”

Aby ustalić dokładnie datę ukazania się komety z roku 1811, zwróciłem się do Obserwatorium Astronomicznego w Greenwich. W odpowiedzi p. A. Hunter, Astronom Jej Królewskiej Mości, podał mi następujące szczegóły: ko-

meta z roku 1811, nazwana według pierwszych odkrywców Faugergues - Pons, ukazała się dla oka nieuzbrojonego 20 sierpnia oraz świeciła nieomal do końca grudnia roku 1811. Kluczowym wyrazem w powyższym cytacie jest wyraz „niedawno”: „kometa dostrzeżony niedawno na niebie”. Niestety wyraz „niedawno” interpretować można zależnie od okoliczności, ale Mickiewicz mówi dalej, że kometa ma już warkocz i że świeci jako gwiazda pierwszej wielkości. Musiało więc upłynąć kilka dni od jej ukazania. Biorąc pod uwagę wszystkie dane dochodzące do następującego wniosku: 20 sierpnia przyspadał wtorek, zatem pan Tadeusz przyspadał do Soplicowa 23 sierpnia, a biesiadnicy używający wieczoru i obierający kometa w poniedziałek, 26 sierpnia, mogli już, po upływie tygodnia, mówić o niedawnym gościu. Gdyby przesunąć akcję jeszcze o tydzień, to jest do piątku 30 sierpnia, zajazd odbyłby się w nocy z 2 na 3 września, co przenosi akcję już zbyt daleko w kierunku jesieni.

Zdawałoby się, że kwestia daty zakończenia akcji drugiej jest prosta, bo poeta wyraźnie określa dzień rehabilitacji Robaka i uczy w Soplicowie mówiąc: „Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny Kwietnej”. Bynajmniej tak nie jest. Kościół w Polsce swięta N. Maryi Panny Kwietnej nie zna. Początkowo sądzono, że chodzi tu o Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny, 25 marca, lub o jego przeniesienie na kwiecień. Inni krytycy mnie mali, że Mickiewiczowi chodziło o święto Matki Boskiej Zielnej, 15 sierpnia. Wspomniany na początku prof. Pigoń przychylił się również ku takiej interpretacji. A jednak nie chodzi tu o żadną z tych dat. Przeszłostwo, dzięki uprzejmości doc. M. Giergielewicza, manuskrypt rozprawki p. Witolda Kozłowskiego dotyczącej daty uczy w Soplicowie, gotów jestem przyjąć wynik jego badań, za ostateczny. Kozłowski wyszedł z arcyświątelnego założenia, że przemarsz wojsk napoleońskich, opisany w księdze XI, jest ściślim opisem rzeczywistości, na którą patrzył Mickiewicz oczami czter-nastoletniego młodzieńca w Nowogródku. Stąd badania swoje zaczął przemarzować. Pomocą mu były mniej znane pamiętniki Alberta du Casse, adiutanta króla Hieronima, który dowodził grupą południową wojsk napoleońskich. W wyniku tych badań stwierdza on, że konnica ks. Poniatow-

skiego dotarła do Nowogródka 8 lipca rano. Pozostałe oddziały przeciągały przez miasto aż do późnej nocy. Następnego zaś dnia przyspadało owo święto Najśw. Maryi Panny Kwietnej. Czy był to istotnie dzień święteczny? Okazuje się, że tak. Dnia 9 lipca uchodząco bowiem oktagwę Bozego Ciąła. Trzeba tutaj zaznaczyć, że chodzi w poniższych obliczeniach o daty kalendarza julińskiego, który wówczas, na mocy ukazu Pawła I z 26 lipca 1799 roku, obowiązywał w nowogródzkim na równi katolikowi jak i unitow. Wprawdzie nie było to wielkie święto obowiązkowe, ale jeszcze nawet w okcie dwudziestolecia powszechnie obchodzone. Co więcej, łączyły się z nim dawne zwyczajne święcenia ziół i wianków. Na dowód, że istotnie zwyczaj ten był powszechnie znany przytacza Kozłowski Wł. Wojciechowski z Kłosowa. (Warszawa, 1871, nr 328, str. 231.) „Z obchodem (Wniebowzięcia, 15 sierpnia) łączy się starodawny zwyczaj święcenia ziół polnych. Jest to drugi dzień w roku, przez lud nasz ściśle obchodzony, do święcenia ziół polnych. Pierwszym bowiem jest wielka uroczystość Bozego Ciąła. W czasie tego obrzędu albo też w dzień Oktagwy, po wszystkich kościołach widzimy równianki i wianki z wonnych kwiatów uwide, podawane do święcenia.”

Zupełna zbieżność faktu historycznego i święta kościelnego, słynącego właśnie ze święcenia ziół, zmusza do wniosku, że zdarzenia związane z przemarszem wojsk są jak najbardziej ściśle. W pamięci Mickiewicza utkwiły nawet takie szczegóły, iż w owym dniu jedyn w jego życiu świecono wianki. Trudniej odpowiedzieć, dlaczego Mickiewicz nazwał ten dzień świętem Najświętszej Maryi Panny

BOLESŁAW TABORSKI

Redaktor karty poetyckiej „Młodzi Poeci Emigracji”. Bolesław Taborski, znany dobrze czytelnikom ZYCIA ze swoich artykułów krytycznych i esejów — mniej od strony poezji — urodził się w roku 1927 w Toruniu. W czasie wojny przebywał w Kraju, gdzie brał czynny udział w konspiracji i Powstaniu Warszawskim. Wywieziony do obozu jenców w Niemczech, przybył po wojnie do Anglii, gdzie na uniwersytecie w Bristolu ukończył teatrologię. W chwili obecnej przygotowuje pracę doktorską z zakresu teatru angielskiego XIX wieku oraz zajmuje się przekładami (m. in. przełożył na polski powieść Grahama Greena pt. „Moc i chwala”).

Zródłem, z którego wypływa najbardziej wartościowy prąd poezji Bolesława Taborskiego jest niewątpliwie poezja Armi Krajowej, z którą zapoznał się na emigracji. Fakt ten zaważył nie tylko na charakterze dotychczasowego, na ogół skromnego dorobku poetyckiego Taborskiego, ale również na życiu psychicznym poety. Taborski bowiem konspirację i Powstanie Warszawskie przeżył dopiero na emigracji. To brzmienie paradoksalnie, ale gdy się zważy, że Taborski w czasie powstania miał lat siedemnaście, twierdzenie nabiera sensu. Nie chce przez to powiedzieć, że Taborskiemu obce były odczucia, nastroje, konflikty i problematyka, jakie odczytujemy w wierszach poetów AK, ale całkiem po prostu był on wtedy za młody, aby te rzeczy nazywać po imieniu, nadawać im znaczenie i wreszcie znajdować dla nich miejsce w swoim życiu. Proces ten nastąpił dopiero na emigracji, w momencie, kiedy Taborski zapoznał się po raz pierwszy z poezją tamtego okresu. Wiersze Krzysztofa Baczynskiego (1921-44), Zdzisława Stroińskiego (1920-44) i Tadeusza Gajcego (1922-44) nie tylko wydobły na światło dzienne istniejącą w podświadomości Taborskiego zespół przeżyć tamtych czasów, ale w pewnym sensie zmusiły go do zaakceptowania ich przez intelekt, co więcej stały się bodźcem do ich artystycznego przetworzenia. Jako miedzy innymi wyrażenia swoich własnych uczuć Taborski użył początkowo prozy. Kiedy ta stała się środkiem nieadekwatnym, przetrząsnął się na poezję.

Jan Bielatowicz na marginesie epitaforium dla Olechowskiego (ZYCIE nr 18/162) trafnie charakteryzuje poezję AK twierdząc, że poezja ta „mimo bezspornej piękności i wyrafinowanego kunsztu, rozpięła się w patosie i rozpacz nad osobistą dolą poetów, za młodu poślubionych śmierci, jest raczej chłopięca niż męska”. Tę lapidarnie uchwyconą charakterystykę poezji AK odnieść można z jednym małym zastrzeżeniem do tego nurtu poezji: Taborskiego, który tu omawiam. (Zastrzeżenie to tak wygląda: poezja Taborskiego w tym aspekcie nie jest bezspornie piękna i nie wykazuje wyrafinowanego kunsztu).

Za wiersze tematycznie tkwiące w poezji AK, a więc te, które bezpośrednio, lub przez porównawcze implikacje oświetlają uczucia poety z okresu konspiracji i Powstania Warszawskiego, uważam m. in.: „Panufnika Uwerturę Tragiczną” (ZYCIE 21.11.54; „Orzeł Biały” 20.11.54), „Poprawkę rzeczową”, „Szyfowi”, „La Vida Es Sueño” (wszystkie trzy: „Merkuriusz Polski” IX, 1955), oraz drukowane obok „Lato” i „Alea Iacta”. Wymieniam tylko najlepsze.

Patos i rozpacz nie występują u Taborskiego „en face”, ale pod maską kontemplacji, w której poeta rozważa najważniejsze zagadnienia bytu: życia i śmierci. (W formie tej Taborski tak się wyspecjalizował, że zaczynam ją brać na serio, jako artystycznie zamierzoną. Duży ładunek refleksji jest mu tutaj niewątpliwie pomocny). Rezultatem tej kontemplacji nie jest pesymizm — jak to się ogólnie o Taborskim mówi — aczkolwiek wiersz „La vida es sueño”, w którym wiara poety w pozytywne wartości życia jest mocno zachwiana, do takiego twierdzenia częściowo nas upoważnia: „Życie jest koszmarnym snem / o waice bestii z aniołem / — nie mów, że żyć jest łatwo”.

Na podstawie jednego wiersza nie można mówić o postawie poety. Zresztą wiersz ten użyłbym raczej jako ilustrację tego, co Bielatowicz nazywa patosem w poezji AK. Pesymizm jako postawa życiowa rodzi się po zupełnym przemysieniu problematyki. Taborski tego stadium jeszcze nie przeszedł. Efekt, jaki otrzymujemy czytając wyżej wymienione wiersze, określiłbym jako pewnego rodzaju konfuzję i niepokój umysłu, uczucie, że nasze nawet najprostsze emocje, doznania, ba! nawet instynkty, mogą nas mylić: „życie człowieka żyje jak chce” („Poprawka rzeczowa”). A w wierszu „Szyfowi” — posługując się sprawnie elioteską — radzi nam: „pchać swą skałę Szyfowie / w trzasku kręgów przynaj kark / i w swej skrzywionej rozpaczy ciesz się / że nie ma wyboru i bryla ze szczytu się znów w wieczność potoczy / na ofiarę z tego co w nas tkwi / za to co w nas tkwi / i konca nie ma to co się bierze / z początku spraw i powiązań”. Rozpaczamy więc razem z poetą. Jak on z patosem walczył w tym samym wierszu: „ukryć ból serca w świetle bez sensu / to trud nad miarę sił”; i może nawet intelektualnie zgadzamy się z nim, ale podświadomie na pewno czujemy inaczej...

Drukowana obok, agonizująca „Alea Iacta” jest najpóźniejszym wierszem z omawianego tu cyklu. Temat ten sam, ale wyobraźnia poety już typowo kliniczna. To nie jest inwektywa z mojej strony, ani też psychologizm. Chodzi mi o to, czy to jest poezja? Uważam, że tak i dlatego czek wystawiony przez Taborskiego pokrywam, życząc mu jednocześnie jak najszybszego wywikłania się z obecnej problematyki.

j. j.



ALEA IACTA

Krótkie kanciaste słowo

skamieniało w ustach milczeniem —
nie przepuści go zawarta brama warg;
mit ulepiony z wilgotnego piasku
nie rozsypie się na suchym wietrze.

Więc milcząc widziałem czapkę-niewidkę
i milcząc na wiatr rozrzucam duszę —
zbankrutowany rentier wyobraźni —
rozmięciem w drobny starty bilon
topniejący kapital uczuć
i piszę wiersze — czeeki bez pokrycia

małe wiersze o wielkim Cezarze,
któremu, gdy udo obgryzał indyccze,
donośli wywiad po dłuższych pomiarach,
że strumyk przypadkiem przekroczył wczoraj
zowie się Rubikonem; na to Cezar
w mówiącego kość z indyka rzucił
i zarządził czystkę kartografów;
lecz faktu zmienić nie mógł ani cofnąć:
na Rzym iść musiał i gdy przyszyły Idy
twarz brudnym płaszczem deszczowym okrył,
i zginął, bo czek nie miał pokrycia.

Nieodwołalne rubikony przeszedłem,
usta zacisnąłem boleśnie
i iamię zęby na kamiennym słowie —
krwawymi dźwiękami na piasek kąpię,
milcząc, z wilgoci lepię mit,
co zemrze z twarzą pod deszczowym płaszczem.

LATO

Poplątane gąszenie wzruszeń
placzą w drzewach ptasim skrzykiem —
między żółtym i zielonym liściem
przepaść czasu zawieszona:
więc jak? dojrzyć mu czy skonać?

Suchy konar przekłul balon ciszy —
rozdergany dzwon powietrza
bije duszny chorał przebudzenia;
burza rozerwie skorupę martwoży,
twarz przeora skurcz cierpienia,
gorycz kłęski spłynie z deszczem:
więc zostac mu letnią porą
między żółtym a zielonym liściem.

Dojrzałość lata, to nie skrzydło motyla
lecz drzewo wrośnięte w ziemię
korzeniami — wolą życia.

TRIO

Fausta miłość zbawiła —
więc odszedł Mefisto zgarbiony i smukły
w żalonym pochyleniu oszukanych pleców;
smutkiem się węgiel włosów żarzył.
Gdy mu wydarło lup wczesnych powodzeń,
dumnie niósł rozpacz na wieki zgubiony
piękny diabeł, co nie znał miłości.

Wielkie oczy miała,
W świat nimi patrzała,
Rosę z liści pila,
Pąki róż pieściła,
Życiu dała siebie,
Chodziła po niebie —
Ze był szczęściem — ufala.

Fausta miłość zbawiła —
lecz kto widział cierpienia Małgorzaty?
Nie poeta — górnik w kopalni problemów

formalnych,
nie filozof — wielbłąd metafizycznej pustyni,
ani muzyk — rybak sferycznych harmonii;
lecz to dziewczę, co przeżyło w sobie wszystko —
od świata, który cały mieścił się w jej oczach,
po ruiny marzeń, co jak gips zalepiły usta.

Oczy blask straciły,
Rosy już nie pily;
Posmutniała głowa,
Umilkła rozmowa;
Zwiędły polne kwiaty,
Okno krwawo kraty —
Tylko samcem był miły.

Fausta miłość zbawiła —
ale nic nie przywróciło niewinności
skradzionej przez chytrego diabła,
który przystoił się w swe dawne szaty anioła.
Ale nic nie uratuje Małgorzaty,
która nad Fausta przeniosła pięknego Mefista —
co pyszny był i kochał tylko siebie.

ZMIERZCH I BRZASK

Widziałeś jak nadzieja umiera?
jak serce zamyka ból?
co się rodzi w zakamarkach opuszczenia?
czy kamień, którego wola nie udźwignie,
czy pstrę piórko ptasie — wystrzępiony puch?

Nie dojrzą ludzie leż na łące,
nie usłyszą lkania dzikich kaczek —
gdy kielichy kwiatów napelniają się nocą
i pąki ostu szarzeją, a na rzecze pierścienie
lamia róż pozachodnich chmur
a sen i żaby i księżyc wychodzą na żer —
gdy Bóg błogosławi ciszę świat
nie dojrzą ludzie leż.

Widzisz? nadzieja umiera
a serce twardnieje skurczem —
samotność chwytą cugle znów
i wiedzie cię bracie dalej w lachy życia
gdzie piórko snów — kamieniem twoich jaw.

WIERSZ
A LA

FRANCIS THOMPSON

więc dopadłeś jeździec niebieski
słabości mej i na piach starles
w szpony bólu porwałeś
małość oschłą mego serca

nie wymkną się pieklu twej łaski
karzesz miłością utraconą
bym miłość zyskał

z puchu rozpacz, na którym
jak w błocie tarzałem się
na twarde deski nadziei
rzuciłeś mój szkielet nagi
i potoczyły się kości
po bezkresach smutku
ugrzęzły w moczarach
zazdrosnej goryczy
aż wyjęła je twa ręka

stratowałeś mą duszę wczorajszą
wypaliłeś ogniem swych kopyt
w twym bezlitosnym miłosierdziu ginę
przeszyły strzałą twej wiedzy
ty za mądry na mądrość naszą
tyranie — oswobodzicielu

*

WYSTAWA SZTUKI LUDOWEJ

W Królewskim Towarzystwie Akwarelistów (Royal Water-Colour Society) w Londynie otwarta była w ciągu maja wystawa polskiej sztuki ludowej. Jak w kawałku wody odbija się słońce, jak w kawałku szkła kładzie się obraz krajozobraz, tak na tej wystawie, jak w lustrze dostrzeć można było nasz Kraj, wraz z jego przeszłością i rzeczywistością, jasność, żywość, radość i naiwność uderzały oczy zwiędających od progów. Niestety, sale przy ulicy Conduit opuszczały się z ciężkim sercem. Wystawę można by bowiem również nazwać podzwonnym dla bujnej i wspaniałej ongiś sztuki ludowej w Polsce, mimo że cel jej miał być zupełnie inny. Zamierzano udowodnić błogosławieństwo ustroju dla twórczości ludowej, a pokazano jej zabójstwo.

Aleksander Jackowski, kierownik Wydziału Sztuki Ludowej i główny organizator wystawy, w pompatycznej i zakłamanie przedmowie do katalogu stwierdza expressis verbis, że katolicyńska polska sztuka ludowa ginie, w najlepszym razie wyrażając się w przemysł, aczkolwiek proces ten podobno nie jest jeszcze zbyt gwałtowny. Wystawa w pełni potwierdziła sąd Aleksandra Jackowskiego, z tą poprawką, że proces wyrażania się sztuki ludowej w Polsce jest gwałtownie narzucający i forsowany przez ustrój.

Trzeba przyznać, że organizatorzy postarali się, aby zwiędających uraczyć socrealizmem nie do przesady. Dzieła socrealistów i „prymitywów” umieszczono wstydlwie na piętorku. Tradycja okazała się silniejsza i pewniejsza. Toteż okazy sztuki tradycyjnej umieszczono bardziej na widoku, dzięki czemu wystawa spełniła rolę zupełnie inną niż chcieli organizatorzy. Świadczą o wspaniałym rozwoju polskiej sztuki ludowej aż do czasów, kiedy ją zaprzęto do politycznych tacek i zdeptano.

Wielka szkoda, że wystawę zwiędziło niewielu Polaków. W księdze podpisów na kilkudziesięciu nazwisk angielskich spotykało się zaledwie jedno, dwa polskie. Wiadomości o wystawie roznosiła poczta pantoflowa. Urządze-

nie wystawy sztuki tak daleko od Kraju jest sprawą zbyt poważną i kosztowną, aby ją marnować. Każdy emigrant zwiędziłby wystawę ze łzami w gardle, gdyby o niej wiedział. Przyjmując oczy na socrealistyczne paskudztwa, każdy by chodził od obrazka do obrazka, od figurki do figurki, od koronki do kubka i odczytywał te listy z najmilszych miejsc. Przecież miod kapie do serca, kiedy się czyta takie nazwy, jak Czarny Dunajec, Witów, Chochołów, Koscielisko, Bukowina, Mszana, Rabka, Palessnica, Gorzeń Górny, Gromnik, Strzyżów, Zalpie, Podegrodzie — i poza nimi widzi się kapliczkę, drzewa, zboża, góry, niebo. Niebo.

Zatem zmarnowano wspaniałą sposobność. Wystawy rumuńskiej, bułgarskiej, a nawet albańskiej, nie mówiąc o niemieckich czy francuskich, odbywają się w Londynie z wielkim rozgosem. Polskie jakos przedziwnie cicho, skromnie, pokątnie, jakby komus zależało na tym, aby naszą twórczość ograniczyć do roli szczerpu etnograficznego. W księgarniach na Zachodzie nie ma w ogóle żadnych wydawnictw o Polsce, niechby i takiej, jaka jest. Filmy polskie wyświetla się za granicą raz na parę lat i zwyczajnie w najobszerniejszych budach. Katalog wystawy wydano najniepotrzebniej w sposób rozrzućny, ale zaniebano zupełnie druku afisza.

Cztery arkusze katalogu na ilustracyjnym papierze, z tekturową ozdobną okładką, to przesada. Katalog nie książka i nikt ze zwiędających wystaw takich tomów nie czyta. Ma on poza tym szereg innych wad. Przedmowa jest niejasna i miesza wszystko w jednym kociołku: znajduje miejsce i uznanie i dla sztuki tradycyjnej i dla socrealizmu, dla odrębności narodowej sztuki i dla jej uniwersalizmu, dla idealizmu i użytkowości, dla wielkiej artystów dwudziestolecia „burżuazyjnego”, natchnionych przez wzory ludowe i dla „prymitywów”, dla idei Ruskina i Williama Morrisa, które rzekomo miały natchnąć polskich ideologów ludowości, dla samorodności sztuki i „planowania” państwowego, dla bodźców religijnych i nowoczesnych pod-

nie społecznych w sztuce itd. Jeśli do tego dodać szumny panegryfik dla nowego ustroju („Powstają setki nowych fabryk. Nowe miasta wyrastają spod ziemi. Całe prowincje zmieniają swe oblicze. Zlikwidowano analfabetyzm.” etc.), łatwo odgadnąć, że miłość sztuki idzie tu w parze z propagandą polityczną. Za pan brat.

Układ katalogu jest bajamutny: do polowy wedle dzielnic Kraju, od polowy wedle rodzajów okazów. Rozdział VI nosi tytuł „Podhale”, rozdział VII „Rzeźba”. Korekta niedbala, szczególnie jeśli idzie o nazwy miejscowości. Organizatorzy powinni wiedzieć, że teksty objaśniające można pięknie przełożyć na angielski (czego z powodzeniem dokonano), ale wykoślawiac z angielską nazw wsi polskich nie trzeba i nie wolno. Wątpliwe, czy Mogiła brzmi bardziej po angielsku niż Mogila, Pleszów piękniej niż Pleszow. Podogrodzie uroczyszcie niż Podegrodzie, Bilczyce zgrabniej niż Bilczyce, Dziańskie przystojniej niż Dziańsz, Wygnanie dzwieszniej niż Wygnaniec, Kuszewce wstępniej niż Kuszewiec, Kartuzka bardziej po polsku niż Kartuzy, Leżek celniej niż Łazek, Choccolowa okraglej niż Chochołów, Gronik lepiej niż Gromnik (związszca, że są w Polsce i Groniki). Skampek bardziej pietrkiewczowsko niż Skepno, Niezawa historyczniej niż Nieszawa, Uszana urodziwiej niż Mszana itd. itd. Ogromna większość nazw polskich jest w katalogu zniekształcona. Czyżby „Polski Instytut Kultury” w Londynie nie zatrudniał ani jednego piśmiennego Polaka?

Zamęt potęguje podział wystawy wedle dzielnic Kraju, które tak oto widzą z Pałacu Kultury państwo A. Jackowski i A. Kuneczyńska (dla harmonii należałoby wydrukować raczej: Jazkowsky i Kuneczyńska): 1. Rejon Krakowa, 2. Polska Srodkowa, 3. Polska Północno-Wschodnia (jak z katalogu wynika, chodzi tu o Mazowsze, Podlasie i Kurpie), 4. Polska Południowo-Wschodnia (to Rzeszowskie i Lubelskie!), 5. Śląsk, 6. Podhale. Dodac trzeba, że o czwartym rejonie autorzy katalogu mówią, iż zaznaczają się tam

wplywy „Zachodniej Ukrainy i Białorusi”. Bardzo możliwe, że wplywy te usiłowano dyskretnie podkreślić umieszczając w jednej z ceramik bukieć palm wileńskich.

Ale to wszystko jeszcze pół biedy. Ogólnym zamierzeniem organizatorów było wykazać, jak nieudolna sztuka ludowa, skuta w pęta feudalizmu i fideizmu, wywołują się w Polsce Ludowej i nabraba znaczenia oraz wyrazu w spółdzielniach rzemieślniczych, pod słońcem błogosławionego ustroju, gdzie artysta ludowy może się wypowiedzieć swobodnie i z powszechnym uznaniem i gdzie się bacznie śledzi każdy najdrobniejszy przejaw ambicji twórczych. Zatem na tle starych, za szkłem umieszczonych, swiátków, przedstawiono dzieła grup spółdzielczych, stylizowane i masowe wytwory przemysłu ludowego oraz okazy „prymitywów”. Wszystko to wielka pomyłka. Wobec dostojenstwa ludowej rzeźby i malarstwa religijnego karykaturalnie obrzydliwie smarwidła jakiegoś N.kifora i Ociepki, ze Stalinem i Leninem w postaci siedzących obok siebie swiátków, wołają o pomstę do nieba. Wytwory spółdzielni artystycznych, w rzeźbie, malarstwie, tkaminiach i ceramice, ukazują wulgarnie i niedołężne nasladownictwo starych natchnionych dzieł sztuki. Jakaz jest przepaść między twarzą pierwszego lepszego Chrystusa Frasobliwego a bezdusznymi gładziami pseudoludowych wystrużyn! Jaka niezmierna odległość między dawną krakowską zabawką czy szopką a kleconymi dziś ozdóbkami z cynfoli! Sztuki — niestety, albo raczej na szczęście — podobnie się nie da. Nie da się zwłaszcza znaleźć przepisu na wzruszenie artystyczne, wyrażające się niezależnie od stopnia doskonałości technicznej.

Toteż wystawa polskiej sztuki ludowej dowiodła, że fabryczna i kolchoznicza seryjność jest śmiertelnym wrogiem twórczości artystycznej. Ze dzieł wyrosłych z natchnienia religijnego i z czystej miłości dla piękna kształtu i koloru nie da się niczym zastąpić. Trzeba oddać sprawiedliwość organizatorom, że nie chcą powiedzieć to wyraźnie i przez samą wystawę, i w katalogu. Dawne dzieła sztuki ludowej powstawały w miłości i trudzie, często na kolanach, dziś się je robi przy pomocy aparatu fotograficznego i nowo-

czesnych narzędzi, na wygodnym stoleczku pracowni. Artysta ludowy wysiłał się jak umiał dla chwały Bożej, tzw. tworca prymitywowy robi swoje rzeczy dla pochwały, albo i zarobku. Takimi właśnie „prymitywami” oblepione są bruki londyńskie, za co „artyści” otrzymują po pensie do kapełusza od rozrzutniejszych przedchodniów. Artysta ludowy tworzył z szacunkiem dla przedmiotu i tylko z tą intencją, „prymityw” trzudi się dla

siebie i dla poklasku. Artysta starał się zachować styl godny przedmiotu, „prymityw” jest kapryśnym „poszukawcem” formy. Katalog otwiera reprodukcja wspaniałego dzieła: rzeźby Matki Boskiej Bolesnej z Kosmacza pod Kosowem. Podziwiać można siłę polskiej podświadomości. Tej niby to socrealistycznej wystawie patronuje Matka Boska Bolesna z Kosmacza.

Jan Bielatowicz

BIBLIOTEKA POLSKA

OSTATNI TYDZIEŃ SUBSKRYPCJI

pięknie beletryzowanej opowieści
amerykańskiego pisarza

W. T. WALSH'A

pt.

FATIMA

Dzieje Objawień Matki Bożej trojgu dzieci portugalskich w dolinie Cova da Iria w roku 1917, w których zapowiedziane zostały przyszłe wypadki, dokonujące się na oczach naszego pokolenia.

Barwną opowieść, opartą na ścisłej dokumentacji i na przesłuchaniach autora, przełożył na język polski Florian Śmieja.

Termin subskrypcji wptywa dnia 31 maja br.

Z powodu podniesienia taryfy pocztowej cena tomu w subskrypcji wynosi obecnie: 8/6 + 1/- za przesyłkę i opakowanie; dol. 1,50, fr. fr. 500.

ZAMÓWIENA KIEROWAĆ PROSIMY:

„VERITAS” — 12, PRAED MEWS, LONDON, W.2.

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 maja 1956.

NASZE SPRAWY

STRUMIENŹ ŹRÓDLANEJ WODY

Znana pani pokazywała mi list z Polski. Wypisał sobie z niego — za jej zezwoleniem — trzy zdania.

„Brat mój nazwał list Twojej córki pełnym naiwności, ale to właśnie jest mój. Tutaj młodzi po poznaniu się w kilka dni później mówią: chodź do mnie do łóżka. Oczywiście, i u nas pienie strumyczek ze źródła woda, ale nie mają prawa do pełnego życia — choć wierzą w to, że z tego strumyczka utworzy się duża rzeka”.

Tych kilka zdań — to jakby snop światła, pozwalający nam zdać sobie sprawę z tego, co nurtuje w życiu młodej generacji w Polsce.

Mamy tu dwa zjawiska: potężną falę demoralizacji, oraz tradycjonalizm, świadomie stawiający przed demoralizacją opór, pognebniony, nie mający prawa do pełnego życia, ale radosny i pełen wiary w ostateczny swój w życiu polskim tryumf.

Demoralizacja jest — rzecz prosta — spowodowana warunkami panującymi w Polsce komunistycznej. Jest ona zarówno bezpośrednim owocem wpływu komunistycznego, który przeciwstawia się Bogu, religii, oraz tradycyjnym pojęciom moralnym, jak i pośrednim rezultatem pewnego nihilizmu i cynizmu, ogarniającego tych, co nie stawiały się komunistami pozytywnie, uległy jednak — pod wpływem komunizmu — wykołobieniu; nie przyjąwszy nowej ideologii, utracili ideologię i wiarę dawniejszą, nie wierzą w nic, troszczą się tylko o swoje potrzeby, materialne i walczą o zaspokojenie tych potrzeb z marksowską brutalnością.

Alle nie przesadzajmy z przypisywaniem wszystkiego komunizmowi. Bądźmy szczerzy: czy mamy zupełną pewność, że gdyby Rosja została w roku 1945 odepchnięta na linię traktatu ryskiego, czy choćby na linię Curzona i Polska była dziś od 11 lat wolna, nie byłoby dziś w Polsce, może nie na tak wielką, ale znowu taką bynajmniej i nie na małą skalę, prąd demoralizacji? Czy ruch podziemny po okupacji niemieckiej, terror, zaozbrojone wyroki śmierci i strzelanie ludziom w łeb na ulicy, czy zasada nieplacenia za bilety w tramwaju, czy rekwizycje z bronią w ręku nie przyczyniły się do wychowania całej generacji, usposobionej nihilistycznie, ceniącej tylko brutalną siłę, nie troszczącej się o prawo moralne, jak najbardziej dalekiej od religii i od tradycyjnych kanonów postępowania? I czy ogromny zdatków rodziców się procesu demoralizacji nie mieliśmy już przed wojną? Nie mieliśmy masowego zjawiska rozwodów? Bezreligijności? Używania życia? Niepoznanowania cudzej własności?

Alle mniejsza o przyczyny. Jest faktem — co zacytowany wyżej list ujawnia w lapidarnym formie, ale co wiemy i bez tego z tysiąca innych źródeł — że huczy dziś w Polsce potężna fala demoralizacji. Musimy o tym wiedzieć. Musimy zdawać sobie sprawę z choroby, która nasze życie toczy. Musimy uznać, że walka z tą chorobą jest dziś jednym z głównych zadań naszego narodu.

Alle obok tego, jak widzimy, jest w Polsce „strumień ze źródła woda”. Także i to nie jest dla nas rzeczą nową. Wiemy o tym choćby z prasy krajowej, z różnych wzmianek o życiu młodzieży akademickiej na uniwersytecie katolickim w Lublinie, o dyskusjach w środowiskach akademickich

w Krakowie, Warszawie, czy Wrocławiu. A gdybyśmy nawet tego nie wiedzieli — to moglibyśmy się tego dowiedzieć. Społeczeństwo, które wysłało po pół miliona pielgrzymów na Jasną Górę w jednym tylko dniu, które stało, wszędzie, o każdej porze, wypełnia tłumem wszystkie kościoły i które zdobyło się, kosztem tyłu ofiar, na dzieło odbudowy tyłu świątyni zburzonych, z pewnością nie zaniedbało także i wysiłku nad katolickim wychowaniem młodzieży. Z pewnością ów „strumień źródlanej wody” jest silniejszy, niż się wydaje na pozór. Z pewnością nie brak go nigdzie. W żadnym zakątku Kraju i w żadnej warstwie społecznej. W żadnej parafii, w żadnej wiosce. Ani na uniwersytetach, ani wśród robotników fabrycznych, ani wśród młodzieży chłopskiej, ani wśród pańien sklepowych i fryzjerów.

Nie jest to nurt rzucający się o czoło. Jest to z pewnością strumień płynący w cisy, raczej pod powierzchnią, raczej poza zasięgiem ludzkich oczu. Być może ma on tu i ówdzie jakieś formy organizacyjne: formy bractw, kółek, czy sodalicy. Przede wszystkim jednak jest to — z pewnością — nurt żywiołowy, rodzący się samorzutnie, mający źródło po prostu w zdrowym rozsądku, w obserwowaniu tego, co się dzieje i wysnuwaniu samemu wniosków, no i — oczywiście — w prawdach wiary, w konfesjonalne, w kazania i w Ewangeliach, w tradycji, w opinii ogółu społeczeństwa. Prąd idący od rodziców do dzieci, od starszego rodzeństwa do młodszego rodzeństwa, od starszych kolegów do młodszych kolegów, od księdza do parafian, a przede wszystkim: od młodych do młodych.

Ci, co świadomie stoją w szeregach tego nurtu, „nie mają prawa do pełnego życia”. Ale to im nie przeszkadza, stać radośnie przy prawdach, w które wierzą i zajmować postawy, które uważają za słuszną.

Z ręką na sercu: czy nie prowadzą dziś oni ważniejszej walki o Polskę, niż ktokolwiek inny w Polsce i w świecie? Główna rzecz, o którą dzierżwią w walce o Polskę, to jest: przetrwać. Zachować ducha polskiego narodu. A oni to właśnie robią. Oni troszczą się o rzecz najważniejszą: o zachowanie moralnego pionu narodu.

I my tu na emigracji nie mamy ważniejszych zadań od tego zadania, jakie oni podjęli. Zachować pion moralny narodu! Oczywiście, nasze polityczne poczynania są ważne. Ważne są nasze artykuły, książki informujące, nasze listy do redakcji, przemówienia, konferencje i manifestacje.

Alle czy nie ważniejsze jeszcze — zwłaszcza w obecnym okresie zastój w polityce światowej — jest przechowanie przez nas wiary, moralności katolickiej, narodowej kultury?

Każdy rozwój polskiej rodziny na emigracji czy też w Kraju jest dziś, być może, większą zbrodnią polityczną wobec narodu, bo większym przyczynieniem się do zwycięstwa wpływu komunistycznego w Polsce, niż niejedna jawną, czysto polityczną wina. I odwrotnie, uratowanie w nieskazitelnej czystości jednej duszy polskiego dziecka, polskiego chłopca czy dziewczyny, jest być może faktem większego znaczenia niż to najświetniejszych przemówień radiowych i najrzeczniej przeprowadzonych konferencji quasi-dyplomatycznych.

Wśród książek i czasopism

D'ORMESSON W AKADEMII „NIESMIERTELNYCH”

Na miejsce zmarłego niedawno Paul Claudela Akademia Francuska w dniu 8 maja wybrała swym członkiem Władimira d'Ormessona, ambasadora francuskiego przy Stolicy Apostolskiej. D'Ormesson wybrany został od razu w pierwszym głosowaniu uzyskując 19 głosów przeciw 13, które padły na krytyka literackiego Roberta Kempa.

W ten sposób następuje poety-dyplomata, jakim był Claudel, został również pisarz-dyplomata. Poprzednie głosowanie, które odbyło się jeszcze w listopadzie ub. roku, nie dało wyniku i wybory zostały odłożone na szereg miesięcy.

Ojciec d'Ormessona był również dyplomata i dzięki temu syn już w dzieciństwie i wczesnej młodości spędził wiele lat w różnych stolicach europejskich: w Kopenhadze, Lizbonie, Atenach. Później, posłubszy Meksykańsk; z Paryża, pannie Conchite de Malo, zamieszkał z nią w pałacu w Ormesson, gdzie żył z rodziną. W roku 1923 odbył podróż po Europie środkowej; był i w Polsce. Został wówczas wybitnym publicystą głównie w zakresie polityki międzynarodowej. Jest współpracownikiem „Revue Hebdomadaire”, „Le Temps” i „Journal de Genève”, a w roku 1934 zostaje redaktorem spraw zagranicznych „Le Figaro”. Spełnia te funkcje do maja 1940 roku, kiedy w tym nad wyraz krytycznym dla Francji momencie zostaje mianowany jej ambasadorem w Watykanie. Po różnych przejściach w czasie wojny i po spędzeniu, po wojnie, paru lat na stanowisku ambasadora francuskiego w Buenos Aires, powrócił na swą placówkę przy Stolicy Apostolskiej.

Dotąd należy, w początkach drugiego roku swą karierę d'Ormesson ogłosił m. in. broszurę pt. „La Pologne — notre soeur”.

Po wyborze do Akademii otrzymał telegraficznie życzenia od Ojca św. i jego specjalne błogosławieństwo apostołskie.

LAUREAT „GRAND PRIX DE LETTRES”

Poeta, powieściopisarz i dramaturg francuski, Alexandre Arnoux otrzymał w tych dniach najwyższe wyróżnienie państwowe w dziedzinie literatury — Grand Prix national des lettres.

Arnoux urodził się w Digne w roku

1884, liczy więc obecnie 72 lata. W roku 1908 osiadł na stałe w Paryżu. W r. 1946 został oficerem Legii Honorowej, a w r. 1947 wybrano go członkiem Akademii Goncourtów. Wykazał w swej twórczości talent bardzo różnorodny; za najlepszy utwór jego uchodzą „melodramat feeryczny” „Hun de Bordeaux”, wydany w roku 1922. Dokonał też wielu tłumaczeń, głównie z Goethego i Calderona.

ILU JEST POLAKÓW W WIELKIEJ BRITANII?

W Hadze, nakładem księgarni wydawniczej M. Nijhoffa ukazało się studium socjologiczne pt. „Polish Immigrants in Britain” pióra Jerzego Zubrzyckiego, byłego wykładowcy socjologii na Polish University College w Londynie, zatrudnionego od roku ubiegłego w departamencie demograficznym Australian National University w Canberra, stolicy federacji australijskiej. Książka Zubrzyckiego opracowana jest metodą naukową, z sumiennym wyszkoleniem źródeł i zasięgiem na obszerniejsze omówienie. Tu na razie pragniemy przytoczyć parę podanych w niej cyfr, dotyczących liczebności Polaków w Wielkiej Brytanii, gdyż na ten temat rozpowszechnione są nieco przesadzone cyfry, dotyczące okresu już minionego.

W grudniu 1949 roku ogólna liczba „Polish Nationals” (jak określa Polaków, nie będących obywatelami brytyjskimi, statystyka brytyjska), wynosiła 157.300 i stąd często pochodzi powtarzana cyfra, że Polaków w Wielkiej Brytanii jest „około 160.000”. Od tego czasu jednak Polaków stale ubywało, na dzień 1 lipca 1950 statystyki urzędowe podają ich liczbę na 140.000, a na dzień 31 grudnia 1954 120.000 — i to jest ostatnia znana cyfra. Przyczyną zmniejszenia się liczebności „mniejszości polskiej” była przede wszystkim emigracja do Stanów Zjednoczonych i innych krajów (do samych Stanów Zjedn. wyemigrowało do 31 grudnia 1951 ogółem 10.500). Poza tym pewna ilość robotników polskich, przybyłych poprzednio do Wielkiej Brytanii z Niemiec (jako tzw. EWV — European Voluntary Workers), zdecydowała się powrócić do Niemiec, gdyż stał się im coraz trudniej wyemigrować do Stanów Zjednoczonych z kategorii „dip-sów”. Wreszcie pewna liczba Polaków (około 10.300 w latach 1950-1954)

otrzymało obywatelstwo brytyjskie i nie figuruje już w statystykach Home Office jako „Polish Nationals”.

Jeśli chodzi o podział według płci, to na 135.770 „Polish Nationals”, zarejestrowanych na dzień 1 grudnia 1951 było mężczyzn 101.284 (74,4%) i kobiet 34.486 (25,6%). Kobiety więc stanowiły nieco więcej niż jedną czwartą ogółu. Od tego czasu stosunek ten prawdopodobnie uległ większym zmianom.

W Londynie liczba „Polish Nationals” wynosiła wkrótce po zakończeniu wojny, dnia 31 grudnia 1945 roku, 12.523 osób i od tego czasu szybko rosła, by w dniu 31 grudnia 1949 dojść do punktu szczytowego — 37.819 „Polish Nationals”, a więc niewiele poniżej 40.000. Stanowiło to 27,2% ogółu „aliens” w stolicy Wielkiej Brytanii. Od tego czasu zmniejszył się jednak spadek i liczba „Polish Nationals” w dniu 31 grudnia 1954 r. wynosiła 28.811, co stanowiło 25,2% ogółu obokrajowców. Jeśli jednak doliczymy do tego kilka tysięcy Polaków naturalizowanych, to ogólna liczba Polaków w Londynie wyniesie nadal ponad 30.000.

ODKRYCIA NAD MORZEM MARTWYM I SEKTA ESSENCEZYKÓW

Odkrycie słynnych zwójów papirusowych (po angielsku zwane są one po prostu „scrolls”) z tekstami biblijnymi w jaskiniach nad Morzem Martwym nie przestaje pasjonować uczonych. Świeżo w Ameryce ukazała się bardzo interesująca książka prof. Millara Burrowsa pt. „The Dead Sea Scrolls” (na jesieni rb. ma się pojawić jej wydanie brytyjskie). Burrows był dyrektorem Amerykańskiej Szkoły Badań Orientalnych w czasie — był to luty 1948 — kiedy okazał się właścicielem zwójów pergaminowych, zostały dostarczone szkole dla zbadania. Sprawa zwójów interesowała się i zajmował od samego początku. Książka jego wywołała już liczne dyskusje, często o charakterze bardzo kontrowersyjnym. W szczególności chodzi o rolę i znaczenie sekty Essenckich, którzy, jak się powszechnie przyjmuje, stworzyli i ukryli w jaskiniach ową bibliotekę zwójów pergaminowych. Między jaskiniami a wybrzeżem morza odkopano ruiny dużego kamiennego budynku pełnego sprzętów, wśród których znajdują się biurka i

naczynia na atrament. Były one niewątpliwie warsztatami pracy tych, którzy bibliotekę stworzyli.

Dyskusje na temat roli Essenckich, tych — jak chcą niektórzy uczeni — prekursorów pierwotnego chrześcijaństwa, przez długi czas niewątpliwie będą bardzo ożywione.

*

KONGRES WOLNEJ KULTURY POLSKIEJ ODBĘDZIE SIĘ WE WRZESNIU W PARYŻU

W dniach od 7 do 10 września bież. roku obradować będzie w Paryżu Kongres Wolnej Kultury Polskiej. W Kongresie, który obejmie wszystkie działy twórczości naukowej, pisarskiej i artystycznej, wezmą udział przebywający na uchodźstwie przedstawiciele polskiej nauki, literatury, sztuki i prasy.

Kongres zwołuje Komitet Wykonawczy, wyłoniony przez polskie zrzeszenia i instytucje kulturalne w wolnym świecie.

Kongres Wolnej Kultury Polskiej da wyraz nierozdzielnej więzi z emigracją z Polską, jej kulturą, tradycją i jej walką z systemem totalitarnym.

Prace Kongresu będą poświęcone omówieniu obowiązków emigracji wobec Kraju w dziedzinie kulturalnej, przeglądowi dziesięciolecia osiągnięć kulturalnych uchodźstwa oraz dyskusji nad metodami stałej opieki nad kulturą polską w wolnym świecie.

W połowie czerwca odbędzie się w Paryżu spotkanie przedstawicieli Komitetu Wykonawczego z Nowego Jorku, Londynu i Paryża, celem omówienia przygotowań organizacyjnych i programowych.

Po zakończeniu dyskusji wstępnych ogłoszony zostanie szczegółowy program prac Kongresu.

Siedzibą główną Komitetu Organizacyjnego jest Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku, 145 East 53-rd Street, New York 22, N.Y. Adres Komitetu w Paryżu jest: 6, Quai d'Orleans, Paris IV-eme (Biblioteka Polska), zaś w Londynie: 20 Princes Gate, London S.W.7. (Instytut im. gen. Wł. Sikorskiego). Pod powyższe adresy kierować należy wszelkie zapytania dotyczące Kongresu Wolnej Kultury Polskiej.

Za Komitet Organizacyjny
K. Wierzbicki Prof. O. Halecki
wiceprezes prezes
B. Wierzbicki S. Strzelicki
wiceprezes sekretarz generalny

PO ŁĘPKACH

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

KOMITET WOLNEJ EUROPY postanowił wyłożyć kilkadziesiąt tysięcy dolarów na urządzenie Kongresu Kultury Polskiej dla uchodźców politycznych. Organizację i ideologię powierzone Polakom. Amerykanie nie chcą się wtrącać w tym kongresie absolutnie do niczego, za wyjątkiem zapłacenia rachunków. Owszem, zaproponowali jeszcze termin. Ale pod wpływem ogólnych białych zgodził się kongres przesunąć — z połowy czerwca na połowę września br. Gdyby nie przesunęli, wszyscy emigranci orzekliby zgodni: podejrzany dyktant. A tak uważa się, że jednak postawiliśmy na swoim.

Polskie środowisko kulturalne w Paryżu zażądało ultimatum przesylenia terminu. Przygotować się do posiedzeń na sto osób, znaleźć sto miejsc w paryskich hotelach, na to — orzekli polscy przyrzaczeni — trzeba kilku miesięcy czasu. Przygotować odpowiednio referaty 15-minutowe — podniósł zastrzeżenie grupa mieszczyńska „Kultura” — to musi zajść dobre pół roku.

Należy przypuszczać, że Amerykanie ubawili się tymi zastrzeżeniami. Ale dla świętego spokoju termin przesylenia. Zapewne mają już na tyle doświadczenia, aby nie sądzić, że i tak wszystkim będzie się załatwiać w ostatniej chwili, że pokoje zamówi się w przeddzień kongresu, przy czym niektórzy z kongresowiczów będą spać na dostawionych tapczanach, że referaty będą pisane w drodze do Paryża, że sala do zebrania kongresowiczów okaże się za mała, że połowa delegatów na otwarcie kongresu pojedzie w drugą stronę miasta, że pewna grupa opuści burzliwe obrady na znak protestu przeciw nieprzyjęciu jej postulatów, że na uroczystym obiedzie podana będzie nieświeża ryba i to bez wina, słowem, że balagan będzie arcypiastowski. Przecież kongres urządzają Polacy.

A referaty — ho, ho! Aż strach bierze przed tą głębią.

Stary dowcip głosi, że największą trudnością sprawy dwu Polaków przejść przez otwarte drzwi. Obaj zapraszają się wzajemnie szerokimi gestami do pierwszeństwa, ale ilekroć który z nich chce ruszyć pierwszy, natychmiast drugi zabiega mu drogę. Okazuje się, że jeszcze trudniej niż przejść wspólnie przez otwarte drzwi jest dla Polaków zorganizować stuosobowy kongres.

Gdy bowiem rozszła się wieść o nim, najpierw zaprotestowali politycy, że zjazdy kulturalne nie mają w obecnej sytuacji żadnego znaczenia, że na-

miast kolosalną wagę miałyby zjazdy polityczne. Następnie zaprotestował Paryż, że termin na przygotowanie zjazdu za krótki. Potem grupa „Kultura” opracowała 12-punktowy manifest, pod jakim warunkami weźmie udział w kongresie. Później w podkomitetach paryskim i londyńskim powstały rozłam. Kiedy już kandydaci na kongres upuścili sobie wzajemnie spór krwi, na pojawkowo ruszyli z misericordiami swych piór wyprobowani fechtmiestrze. Polonijny „Dziennik Polski” w Detroit wypalił z miocia: „Jest rzeczą oczywistą, że skoro zjazd ufundowany będzie przez czynniki amerykańskie, należy nadać mu taki charakter, jakiego sobie zyczylby fundatorzy tej imprezy”. Wedle detroickiego „Dziennika”, kongres miał otrzymać zalecenie, aby ani słowem nie wspominać o twórczości kulturalnej w Kraju i za całą twórczość polską uważać tylko to, co się dzieje na emigracji.

Ze swym Zerwikapturem doskoczył także Stanisław Mackiewicz, obdarzony notorycznym wstrętem do „cudzego” pieniądza, i określił zamierzony kongres jako „politykę trinkgeldu”. Filipińki Mackiewicza zamieścił „Dziennik Polski” w Londynie, dodając od siebie znaczące, że bliżej zajmie się całą tą sprawą i w ogóle całą polityką Komitetu Wolnej Europy. Groźby, co prawda, dotąd nie wykonał.

O co chodzi oponentom? Zapewne o to, aby zjazd się nie odbył. Ale dlaczego?

Amerykanie niczego pod obrady nie narzucili, przeciwnie, głównym celem kongresu ma być wysunięcie dezyderatów, aby od Amerykanów wyostać fundusze na polskie cele kulturalne. Sparzyli się dając pieniądze na działalność polityczną, próbując teraz pomóc naukowcom, pisarzom, wydawcom. Zresztą dają już i dziś, ale chodzi o to, aby to nie były zasiłki, trinkeldy, jak dotąd, personalne, ale placowa pomoc dla rzeczywistych pracujących i potrzebnych instytucji polskich, takich jak biblioteki, instytucje, wydawnictwa.

Pewni publicyści głoszą z uporem poglądy, że od obcych, a właściwie od naszych przyjaciół na Zachodzie, nie należy brać absolutnie żadnej pomocy. Spróbujmy wyciągnąć konsekwencje z takiego stanowiska. Po cofnięciu pomocy amerykańskich, brytyjskich, francuskich, a nawet hiszpańskich musiałby zamknąć wszystkie polskie radiostacje, trzeba by zawiesić działalność różnych placówek naukowych, zlikwidować Instytut Sikorskiego, spa-

lic archiwa rządu i sił zbrojnych z czasu ostatniej wojny, oddać reżymowi Bibliotekę Polską w Paryżu, zamknąć Bibliotekę Polską w Londynie, a jej książki oddać na przemiał, zlikwidować Polish Research Centre w Londynie i resztki Komitetu Oświaty, resztki szpitali i szkół. Zlikwidowawszy większość polskich instytucji, zagłuszywszy radio, spalwyszy księgozbiory, narzeczcie byłibyśmy czystzi i uczciwi. O taką właśnie uczciwość zabiega i rząd sowiecki w Polsce i wiele wrogich nam czynników na Zachodzie.

Alle przecież pomoc gospodarzy nie kończy się na instytucjach i bibliotekach. Bo będąc konsekwentnym, dlaczego brać zasiłki Ass.stance Board, stypendia studenckie czy pożyczki na kupno domów? To także obce pieniądze! Pomagają sobie wzajem ludzie, pomagają państwa poszczególnym obywatelom, pomagają też narody narodom. Dlaczego by polski profesor miał się wstydzic zasiłku amerykańskiego lub brytyjskiego? Dlaczego by polska biblioteka miała raczej spalić swe książki niż brać pomoc od brytyjskiego ministerstwa? Dlaczego polski pisarz ma do końca życia klepać biedę?

Powiedzmy sobie otwarcie: obymy nie wyprzedzili tych publicystycznych fanfaronów za godzinę! I oby nam rzeczywistcie kiedyś nie cofnięto wszystkich pomocy na Zachodzie!

Słowa mają tak samo dobrą lub złą opinię jak ludzie. Niewiadomo dlaczego od słowa „trinkgeld” (napiwek) przylgnęło takie lekceważenie. Napiwek są podobno nawet zakazane w dzisiejszej Polsce, chyba tylko dlatego, że tak brzydko się nazywają. Ale w Anglii i w ogóle wszędzie na Zachodzie napiwek jest częścią należności za wykonaną pracę. Pod pojęciem napiwka można by podciągnąć bardzo rozległe formy wynagrodzeń. I cóż w tym niedogodnego?

Szermierze niezależności powiadają, że na każdy pieniądź trzeba sobie wyśluzić Owszem, tak być powinno, jeśli się nie chce mieć poczucia łaski. Bo co innego zasłużona zapłata łącznie z napiwkami, a co innego żebrani-na.

Czego od nas żądają Amerykanie? Tego właśnie i tylko tego, co robimy. Chcą, abymy byli w Europie awangardą oporu przeciw komunizmowi; i chcieliby od nas wartościowych prac w tej materii. To, naturalnie, gorszy komunistów. Ale skąd furia „niepodległościowych” publicystów i pism polskich na Zachodzie? Wrogość Polaków

wobec komunizmu leży w interesie amerykańskim. Wrogość Ameryki wobec komunizmu leży w interesie polskim. Interes jest obopólny. Jeśli Amerykanie opłacają polskie radiostacje, to doskonale wiedzą dlaczego. Ale czy to jest naprawdę niezgodne z naszymi cełami? I czym my odpłacamy? Najlepszą w naszym rozumieniu monetą: wiarą w słuszność naszych idei. Czy dlatego mamy czuć upokorzenie, że nasza wiara jest także potrzebna i cenna dla obcych?

LONDYŃSKI PODKOMITET rozlał się na dwie grupy: Związku Pisarzy z jednej strony i wszystkich innych stowarzyszeń naukowych, dziennikarskich i artystycznych z drugiej. Rozszło się o osobę Juliusza Mieroszewskiego, który miał wygłosić odczyt pt. „Postawa ideowa pisarza polskiego na emigracji”. W niektórych kołach emigracyjnych panuje metoda ostracyzmu i tzw. „świętego terroru opinii publicznej”. Mieroszewskiego traktują te koła jak demona, a to dlatego, że jest publicystą śmiałym, przekornym i — dodajmy od siebie — fantastą czystej wody. Dlatego posiada ogromną popularność. Polacy przepadają, na przekór tzw. opinii publicznej, za dziwakami, oryginalnymi, buntownikami i rebajami prosto w oczy. Zresztą Mieroszewski miewa też czasami rację.

Otoż Juliusz Mieroszewski spełnił rolę kamienia z przysłówia o kosie. Pomógł mu w tym właśnie prezes Związku Pisarzy Tymon Terlecki, którego obowiązkiem było bronić wolności słowa i sądu. Terror, nawet tzw. święty, jest zawsze tylko terrorem. Niestety, Terlecki jako pisarz dał się wymanewrować politykom w togach profesor-skich i niepotrzebnie dopuścił do głosowania nad referatem Mieroszewskiego, który podkomitet londyński odrzucił. Wobec tego Terlecki ustąpił z przewodnictwa, a delegacji pisarzy zebranie opuścili. Próby mediacji spełży na niczym. Zanosi się na to, że w Londynie będą obok siebie działać dwa podkomitety, o ile nie powstaną jeszcze dalsze.

Można powiedzieć, że cała ta gra nie warta świeczki, bo za kosztą depesz do Ameryki, listów, straconego czasu profesorów i publicystów, za cenę wreszcie spodziewanego przyjazdu rcj/mców ze Stanów Zjednoczonych można by nabyć cały skład wosku.

J. B.

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH NA OBCYZNIE

urządza

29 maja, we wtorek o godz. 7.30 w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego (20 Princes Gate, S. W.7)

odczyt z zbiorowy pt.

SWIATŁA I CIENIE ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO W KRAJU

Udział biorą:

MARIA DANILEWICZOWA,
MIECZYSLAW GIERGIELEWICZ,
LEOPOLD KIELANOWSKI,
WIKTOR WEINTRAUB.

Przewodniczy Tymon Terlecki.

Z Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ZYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęcia w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12; od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P L A T Y: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedsta-

wiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ZYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E N I A: 1 cal przez 1 lam — £ 1.0.0, w teście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A I C E N A P R E N U M E R A T Y W R O Z N Y C H K R A J A C H: ARGENTYNA: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula” (Aust.) Pty.Ltd., 77 Pitt Street, Sydney o r a z „Spotem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 fr. BRAZYLIA: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. DANIA: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Anne Kirke Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. FRANCJA: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre. (S. E. M.). CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. HOLLANDIA: B. Galas,

Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str., W. Toronto. NIEMCY: St. Mikikiuk, Gablonzerstrasse 7/1, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa”, Postfach 86, (23) Quaaenbrück. Prenumerata kwart. 8 DM. NORWEGIA: B. Lubinski, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. M. Kijowski, 390 North Ave., Dunellen, N. J. S. J. Rozmyslowicz 5262 Proctor, Detroit 10. Mich. Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J. oraz „Pomoc” — Eksport — Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. \$ 2.00. SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska, 4 Rue Simphon, Fribourg, konto pocz. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. SZWECJA: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. WŁOCHY: Mme Z. Bulhak Jelska, via Salaria 300 C, Roma. Wsprawach prenumeraty i ogłoszeń prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.